Z ziemi łez i piękna.

Odbito w Drukarni Narodowej w Krakowie.

Jan Andruszewski

Z ziemi łez i piękna

Lwów 1905 — Księgarnia Narodowa.

Tobie ziemio Piękna i łez, rozdzwonionych deszczem po trawie ugorów —

Tobie płaczce Doli jasnych głów Twych Dzieci, rozwianych w słońcu drgającem nad zboża pól —

te listki poświęcam

OSNOWA:

ZDERKO I »ON«.

Ciepło było w Ulicku w ten wieczór wiosenny. Ziemia pachła taką świeżością, takie z niej biło życie, że kto był słaby lub bardzo stary, dostawał zawrotu głowy od tej woni, a chorzy ciężko albo rychlej od niej zdrowieli, lub też prędzej kończyli, »którym było pisano«.

Słońce szło za bór, cienie drzew, chałup i dymów słały się po wsi.

Skrzypiały wrota w opłotkach, żórawie po studniach.

Starcy opuszczali przyzby wraz ze słońcem, wlekli się z powrotem do izb dusznych i pustych, bo ludzie i bydło byli jeszcze w polu.

Nikomu nie spieszyło się dziś do chaty, tylko gdzieniegdzie wracały dziewki od źródła, chlupiąc po drodze wodą z pełnych konewek.

* * *

Stary Zderko nie wiele mógł teraz zrobić zwierzynie. »Nie było już komu«.

Nogi mu ociężały, potężne dawniej plecy, na

które największego kozła zarzucał, jak dziecko, zgięte miał w kabłąk, ręce trzęsły mu się »nie do strzału«. Sześćdziesiąt to lat, jak chadzał do lasu ścieżką nad jarem.

Czy deszcz, czy śnieg, czy mróz, wychodził zwykle wieczór, a wracał różnie: w nocy, nad ranem, czasem aż w samo południe, zroszony, zbłocony, głodny, śpiący, zziębnięty.

Co widział »tam« i słyszał, zostawało najczęściej dla ludzi zagadką, tajemnicą między nim a borem.

Świadczyćby mogły o tem chyba zwalane »farbą« mchy i paprocie, póki ich deszcz nie opłókał.

Kiedyś był tu leśnym.

Wówczas tak przywykł do lasu, że potem chodził i na swoją rękę.

Przed strażą i panem rządcą krył się tak samo, jak przed nim kryły się dziki i kozły...

. . . .

Ostatnią zimę przeleżał na piecu, a chociaż niby to wstał niedawno, za piersi go jeszcze trzymało.

Kolbuszewska z Olszyny mówiła, że nic już z niego nie będzie, chybaby się wyspowiadał, lub »żeby wiesna wyciągła z niego chorobę«, choć to już trudno.

Zderko wierzył babie, bo ona »wiedziała«, i gotował się na śmierć.

Kazał sobie uprać koszulę, zgodził deski w tar-

taku, dał się nawet zawieźć do cerkwi, wyspowiadał się i czekał.

* * *

Dziś go wszyscy odeszli, sam ostał się w chacie. Przez drzwi uchylone, przez szpary w ścianach płynęła wiosna do izby.

Pająki wyszły ku niej pod strzechę do słońca, z pod ławy kulawej pył uciekał po smugach światła. . . . .

Ziemia pachła coraz silniej, jak to bywa, kiedy się ma na deszcz.

Dziwna moc płynęła powietrzem, wchodziła w kości, wnikała w krew.

I nagle zdało się starcowi, że go bierze jakiś przeczysty prąd ożywczy, że niesie go w bór pachnący, szumiący, zielony, — nieśmiertelny...

»Naszło go« coś.

Zlazł z przyzby i wszedł do sieni, gdzie był otwór na strych.

Włożył weń rękę i wydobył z ukrycia tak starą prawie jak on, odrutowaną w łożu strzelbę.

Oglądał ją pod zorzę, okurzał rękawem, koło kapsli coś poprawił.

Wreszcie nagłym ruchem wtulił broń pod resztki podartej sukmany i, rozejrzawszy się ostrożnie w koło, wyszedł z nią do sadu, a stamtąd olchami, nad jarem powlókł się do lasu.

* * *

Las woniał, śpiewał, grał, tętnił, trząsł się cały.

Woń zeszłorocznych liści i zapach ziela świeżego, zmieszane z oddechem pąkowia i szpilek, rozpierały pierś Zderkowi, odurzały go.

Siedział na pniu zwalonym, na »halawie« wśród leszczyny i wciągał z rozkoszą ostrą krzemienną woń zgniłych skrzypów i błota i łagodne, miodowe tchnienie iw, całych żółtych od kwiatu.

»Dumał« o dawnych czasach, wsłuchany w chór głosów, tak dobrze mu znanych.

A żyłoż tam, żyło!

Jakby suma się »prawiła«, jakby cerkiew śpiewała w Wielkanoc.

Kosy, drozdy gwizdały pieśń, przyniesioną gdzieś z południa, coraz głośniej, coraz namiętniej, rzekłbyś, zgłuszyć się chciały nawzajem...

. . . .

Całe życie przypomniało się Zderkowi.

Toż to jakby szedł do ślubu w niedzielny ranek majowy i jakby mu dyaki śpiewały:

»Mnohaja lita, wo zdorowie, wo szczastie, wo spasenje, mnohaja lita«.

I szła z nim jego zazula, jego hołubka, jego Parania, która mu w parę lat potem przy dziecku umarła...

Drozdy i kosy darły się teraz na cały las, a jemu się zdawało, że to dyaki śpiewają parastas po Parani, że zawodzą: »wicznaja pamiat', wicznaja pamiat'«.

Lekki opar wzniósł się z ziemi, jako dym kadzielny, kiedy pałamarz okadza ołtarz w święto, a las grał i grał, ale już cichł i poważniał, jakby wtórował zadumie Zderkowej.

Przed nim snuło się życie ubiegłe.

Przeszłość zlewała się z wieczorem dzisiejszym, niby sen z jawą.

W trawach na bagnisku »szczekał« cietrzew, a jemu się zdawało, że to łysy bresze w sadzie, a on się boi, czy panicz ze dworu nie skrada się do jego detyny Hanuni, jego oka w głowie, Paraninej wnuczki.

Oj dałby mu dał...

Hanunię najwięcej lubił z całej rodziny.

Czysta bo Parania.

Smukła, niby młody pręt leszczyny, a oczy u niej jak sadzawki w uroczysku.

I przypochlebne to jakieś takie, jak kotka, a mięka w sercu, jak bazia wierzbowa, jak sama pani, kiede przyjdziesz do niej z prośbą.

W taki to wieczór pachnący, jak dzisiaj, kiedy mór był we wsi, leżała Hanunia w gorączce, bez pamięci.

Mówili wszyscy, że nic z niej nie będzie.

Poszła jej matka, Paranina córka, Kseńka, do dworu po radę.

Wysłuchała jej pani, daje lekarstwo, pociesza, jak może, a ona flaszeczkę za pazuchę, w pas się kłania, całuje panią w rękę i mówi:

— »Kiedy tak, to dajcież już i deskę na domowinę, bo dziecku musi przyjść na koniec«.

— »To robak, nie trzeba jej wiele, jedna deska wystarczy.«

Dalej mówić nie mogła, płacz ją zdławił i wyszła ze dworu, ocierając łzy płótnianką...

. . . .

Mówiły baby, że chybaby wypocić jeszcze chorobę, więc lały dziecku w usta gorący kwiat lipowy, a Zderko przykrył je wszystkiem, co było w chacie z odzienia.

Potem zaparł szczelnie drzwi i komin zatkał płachtą, żeby duszy nie puścić.

Okienko wpuszczone w ścianę i tak nie otwierało się nigdy.

Tymczasem maleństwo się dusiło.

Rozkładało rączki, jakby chwytać niemi chciało powietrze.

Dniało, gdy się drzwi chaty otwarły, i weszła pani, nie dała ich zamknąć.

Wpłynęła cicho, jak anioł cierpienia, położyła białe ręce na śniadem czole Hanuni, na licach spalonych gorączką, niby plamy dwie śnieżne na ugór wiosenny. Wpłynął z nią do izby rzeźwy wiatr poranny, i tak zapachło fijołkami i czeremchą, że aż durzyło gołąbkę i usnęła.

Wtenczas Zderko poszedł do księdza i dał mu dwie cyranki na parastas, żeby Pan Bóg się zlitował do reszty, i nie zabierał Hanuni do Siebie.

Dyak i pałamarz byli dobrzy ludzie, a Zderko w karczmie powiedział im o co chodzi, więc tak pomagali księdzu, tak żałośnie »ciągnęli«, tak zawodzili z całej duszy, że aż Pan Bóg się zmiłował, i dziewczynka wyzdrowiała...

Wodził ją potem do lasu, na grzyby, orzechy. A byłoż ich tam dawniej, jeszcze nim bór wycięli ode wsi. Każdy grzyb inny.

Sosnowy — czarny z wierzchu, z białym jak mleko spodem, krępy, zwiędły w sobie.

Z grabiny — bury, ze świerków — biały, ciemno-podpalany.

Pachło od nich w całej chałupie.

Suszyli je, wiązali na sznurek we wianki.

A orzechy! Który dojrzały, żółty jak wosk, sam się łuszczył.

A co uciechy, kiedy znalazł w ziemi bywało i kwartę myszaków, jeden w jeden wybrał najzdrowsze, albo w dziupli dębowej i garniec łuszczaków, takich, które wiewiórki chowały sobie na zimę.

Co to była za radość, kiedy je sypał dziewczęciu w fartuszek.

Perłami by się tak nie ucieszył.

Stanęło to wszystko w myśli Zderkowi, i uczuł ogromną wdzięczność do Boga za Hanunię.

A ot i jego, choć w takich latach, wyprowadził dopiero co z choroby, i dał doczekać wiosny, a może i sianokosów i żniwa...

Hej świecie Boży!
Hej życie! życie!
Dziesięć razy by się żyło, gdyby tak można!

* * *

Gdzieś daleko w głębi boru ozwało się parę strzałów stłumionych.

Dziwny dreszcz przeszedł starcowi po krzyżach.

Widzi mu się, że jest na polowaniu w Wierzbianach.

Mają brać miot na dzika.

Chłopcy zachodzą ostrożnie, żeby go nie spłoszyć.

Cisza, tylko wiatr rusza gałązką olchową.

Naraz trąbka i wrzask obławy, taki jakiś żałosny, jakby śmierć wiała powietrzem.

I znowu cisza.

Serce bije tak głośno...

Jeszcze gotów usłyszeć...

Wciąga dech w siebie, pierś ciśnie kułakiem...

Trzask, łomot, sapanie...

Dudni ziemia, a zwierz, jak żywa góra, pędzi prosto na pana Kotwicza.

Pan Kotwicz zęby zjadł na myślistwie.

Podniósł strzelbę, wziął go na cel »na sztych«.

Tylko czekać strzału.

A on wali naprzód, potwora, a kłapie kłami i fuczy jak didko, i pianę z pyska toczy.

Prosto na pana Kotwicza.

Nie wystał pan, nie strzelił, rzucił strzelbę i w kilku susach był już na półsążku.

Dzik uszedł bez strzału.

Wtenczas to przezwał go Zderko »kapitanem«.

Nazywał go także po prostu »on«.

»On«, to marzenie jego od rana do nocy przez cały szereg lat, największy, najmędrszy z dzików na wszystkie lasy.

Śnili o nim leśni, mówili panowie, robiono na niego obławy w całej okolicy.

»Przez niego« przesiedział się Zderko rok w kryminale.

Stało to się tak:

Na obławie w Wróblaczynie ksiądz ze Szczerca postrzelił odyńca.

Zrazu sam ksiądz, a potem leśni szli za tropem, ale że podszedł w cudzy las, więc dali spokój.

Zderko nie był już w służbie, ale mimo to, gdzie było polowanie, podkradał się od cudzych granic i stawał ze strzelbą w gęstwinie.

Stał i teraz za bukiem, w hruszowskim lesie, a kiedy leśni wrócili z niczem, poszedł za farbą, i nie »opamiętał« się, aż w trzeciej wsi.

Po drodze trafił mu się kozioł, więc strzelił do niego i narobił hałasu.

Było to jak na złość pod samem oknem leśniczego.

Zbiegli się ludzie, schwytali go, odebrali mu kozła i strzelbę, a leśniczy podał go jeszcze do sądu.

. . . .

Wysiedział się rok we Lwowie, a kiedy drzewo rąbał lub zamiatał ulicę, myślał najczęściej o Hanuni, o siwej krowie, którą wychował od jałówki i o dziku.

I Kseńka i mąż jej, a zięć jego Matwij i chłopak ich Jurko, snuli mu się po głowie, jak żywi stawali mu przed oczy, ale oni mu nieraz wymawiali, że nie robi przy domu, tylko by się włóczył po lesie, więc żal miał do nich.

Rznie piłą sągi gdzieś na podwórzu w Łyczakowskiej ulicy, na bruku kamiennym koło zlewu, a tu widzi pole wyorane, żółty piasek rozsypuje się pod pługiem, aż prosi się, żeby go brać w ręce i całować.

Nabrał Matwij hreczki z worka, sypie do sakwy. Zdjął kapelusz, cisnął nim o ziemię, żegna się: W imia Otca i Syna i Światoho Ducha — W imia Otca i Syna i Światoho Ducha — W imia Otca i Syna i Światoho Ducha, amin; potem bierze ziarno w garść i rzuca pod skibę. I chodzi tak po roli, jak bocian po młace i sypie czarną hreczkę na żółty piasek.

Przychodzą sąsiedzi, mówią: »Daj Boże szczastie«, »Daj Boże i wam!« odpowiadą im, a twarz ma poważną, niby ksiądz na procesyi.

W górze pełno skowronków, a rola pachnie, tylko kłaść się na nią i umierać.

Takie wizye miewał Zderko.

Ale najmilszą tęsknotą, najsłodszem marzeniem był mu odyniec.

Ile razy zbudził się rano i zamiast sadu i pola ujrzał ciemne sklepienie i kratę w oknie, uciekał myślą do kniei, do swobody.

»Jemu« tam lepiej, mruczał.

Gdzie też on teraz? świdrowało mu w mózgu. Co robi? Chudy, czy tłusty?

Obiegał myślą wszystkie jego przesmyki, wszystkie legowiska po gąszczach świerkowych bagienka, w których się kąpał, wykroty, pod którymi legiwał.

Najciężej bywało pod wieczór.

Gdy mrok zapadał i trzeba było wracać z roboty w szare, duszne mury kaźni, a Zderko przypomniał sobie Hanunię i chatę i wiosnę, i bór, i zapach lasu i świętej ziemi, to mu się aż rwało coś w piersiach, dławiło go w gardle.

Wówczas zaciskał zęby i prosił tylko Boga, aby »jakiego głupstwa nie zrobił«, żeby jeszcze dłużej nie siedzieć. Czasem się także modlił pocichu, by mu Ilko z Sopota nie zabrał dzika, podczas gdy on tu siedzi.

»Za moją krzywdę Boże, spraw, aby »on« przyszedł na moje ręce...«

* * *

Przypomniał sobie to wszystko dzisiaj, przypomniał sobie, jak wracał wtedy ze Lwowa.

Było to latem.

Minął Jaworów, Niemirów i Parypsy miał już za sobą, kiedy przez mgły poranne poczęły mu czernieć lasy ulickie.

W zbożach rzęziły i biły przepiórki, po łąkach czerkały kuropatwy, skrzeczały derkacze, spłoszone chrzęstem kos.

Trawy gięły się pod rosą, schylone smutnie, kajały się, jakby biedny lud bezbronny przed widmem rzezi.

Wypłynęło cicho słońce, topiło mgły, rzucało je na kłosy żytnie, na ości jęczmion, na wiechy owsiane, na twarz Zderkową.

Rozpiął koszulę, odsłonił pierś.

Tak długo cisnął ją kaftan więzienny, nie widziała słońca, rosy...

Mgła wchodziła mu za pazuchę, owijała mu się koło serca, jakby go witać chciała od jego wsi, od łąk, od pól.

Jakaś siła niepokonana ciągnęła go do ziemi, do trawy. Rzucił się na miedzę, nabrał w ramiona żółtych dzwońców i sinych ostróżek, przegiął je ku sobie, zanurzył w nie głowę — oddychał — upajał się niemi...

Słońce podeszło, wiatr powiał od pastwisk, rozfalował morze kłosów, zwiewał z nich obłoki kwiecia.

Porwał się Zderko, wszedł na ścieżkę między żyto, zatopił się w nie, rozgarniał źdźbła rękami, dotykał się kłosia, brał je w garść, głaskał.

Zdawało się, że nie idzie, ale płynie, że go coś niesie.

A jego niosło do lasu.

Tam, na pagórku, w grabinie, miały jamy borsuki, a w olszynie było bagno, gdzie lubiły kąpać się dziki.

Wyszedł z żyta mokry od rosy, minął ugór, wchodzi w las, idzie prosto do jam.

Były na swojem miejscu, jakby wczoraj je odszedł.

Żółty piasek koło nich, wyrzucony świeżo, znać na nim tropy.

Kląkł na ziemi, oglądał ślady, liczył je, macał. Nałamał patyczków, i w wylocie każdej nory położył po parę na krzyż.

Jutro do dnia zobaczy, z której dziury wychodzą. Żeby nie chciał, musi przewrócić patyczki, który tylko wyjdzie.

Teraz zbiegł na dół, do olszyny.

Przez gęstwę lip przedzierało się słońce, kładło złote plamy po bagnie.

Zielone i modre ważki bujały nad niem na rudych skrzydełkach, goniły się, siadały po paprociach.

Bagnisko zryte było miejscami, jakby ktoś

olbrzymim pługiem powywalał w niem skiby. Na skraju błota widać było odciski racic.

Przyglądał się im, okrążał błoto, stawał, patrzył.

— Niema go — mruknął — same warchlaki.

Gdzieżbyż »on« się kąpał?

A może go Ilko?...

Idzie sumny lasem przed siebie, nic go nie cieszy, ani lis, który przeszedł mu drogę, taki śmieszny, wyleniony, jakby mu żydzi wyskubali skórę na czapki, ani młode zajączki, co przycupły przed nim w borówkach, czerwone, jak świeże placki żytnie.

Idzie, patrzy: dziewczę pasie krowę na sznurku.

Podchodzi bliżej — Hanunia.

Podrosła, jak świeży pęd na wiosnę, ledwo ją poznał.

I ona go poznała, puściła krowę, leci do niego.

— Didu! Didu! — i wisi mu u szyi, całuje po oczach, po ręku.

Podeszła i siwa, ryknęła na cały las, jęła go wąchać, trzeć się o niego.

Wziął dziewczę na ręce, objął siwą za kark, i tak idą we troje, a dziecko mówi i mówi:

»Jest w stajni cieliczka, jutro jej będzie trzy niedziele.

»Tato, we dworze robią koło stodoły, a Jurko pogania; pszenicę włóczą za lasem.

»Kolbuszewska była bardzo słaba, był ksiądz z Panem Bogiem, ale już teraz chodzi.

»A mama poszła prać na potok.

»Przyjechał wczoraj panicz...«

— A »on«? — pytał Zderko — chodzi?

— Ta chodzi tam od Smolina, wczoraj het porył Hawrakową bulbę, mówili, że to »on«.

Odetchnął Zderko, stanął, posadził dziewczynę na kępie mchu.

Zdjął z pleców węzełek, rozwiązał go, wyjął dwie chustki, żółtą w sine kropki i czerwoną, i dał Hanuni.

Przycisnęła je do siebie, drugą ręką ujęła za sznurek od krowy i poszli do chaty.

Kseńka i Matwij radzi mu byli, bo dał im na podatek pieniądze zarobione we Lwowie.

Schował sobie i na strzelbę, ale do tego się nie przyznał.

Zeszli się sąsiedzi, kumowie, oglądali go, częstował ich gorzałką.

Urósł w ich oczach.

Za sarnę siedzieć nie hańba.

Nie zabił, nie ukradł, nie spalił.

Za myśliwstwo nawet honor...

* * *

Nazajutrz miał już strzelbę.

Kupił ją od Franka Bojarskiego.

Franka oddali do wojska, do Jarosławia, potrzebował na drogę, a strzelba na co mu teraz?

Zaczęło się znów polowanie na dzika.

Ale choć całemi nocami leżał Zderko po rowach w ziemniakach, choć się włóczył za nim całymi dniami, wszystko napróżno.

Raz nawet w szarugę taką, że psa by nie wygnał w pole, bo deszcz strugami lał z nieba, a wiatr giął drzewinę do ziemi, zeszedł go pod świerkiem na spaniu.

Nie było już i piętnastu kroków, i już go miał tak jak w komorze, kiedy strzelba zamokła od deszczu, i dzik tylko »naśmiał się« z niego.

Dobrze jeszcze, że go nie przewrócił, tak strasznie skoczył z pod smereka.

Innym znów razem leżał w paproci, byłbyś przysiągł pień i pień!

Zderko był zmęczony, bo było gorąco, a nałaził się po lesie, więc chciał sobie spocząć.

Idzie do pniaka, aż tu nagle, jak się nie zerwie ten pień, nie sapnie, nie fuknie, i tyle go widział.

Nie było nawet czasu kurka odwieść.

Taki mu wstyd zrobił »kapitan«.

Podał się za pniak, a on mu uwierzył.

Tyle razy chodził tamtędy i wiedział przecież, że tam niema pniaka, więc skądby się wziął naraz?

Nic, tylko go »urzekło«, »omamiło« i »błąd go się czepił«.

Długo jeszcze potem wstydził się Zderko, ile razy sobie to spotkanie przypomniał.

Zwierz był »mądrzejszy od ludzi«.

Pastuchów się nie bał, pomiędzy krowy chodził w biały dzień, a na strzał zejść się nie dał.

Wykraść się z miotu, pójść na chłopców, wyczekać, aż zaśnie stróż i poryć mu pod głową ziemniaki — były to jego figle codzienne, a choć i strzelił kto czasem do niego, to czy go się kule nie czepiały, czy był »niesamowity«, dość, że mu nic nie można było zrobić.

Zderko też twierdził, że przez niego Kseńka umarła, bo kiedy była chora i poszedł do lasu zarobić na doktora i lekarstwo, to »on« go wodził po lesie całą noc, tak, że nic nie wskórał, a gdy wrócił nad ranem do domu, Kseńka była już nieboszczka.

Cały żal za nią, za Lwów, przelał na dzika, i tak się zawziął na niego, że mówił: »Albo jego śmierć, albo moja...«

. . . .

Od tego czasu minęły lata, a Zderko i wszyscy we wsi byli pewni, że »on, to nie dzik«.

»Niesamowity« mówili jedni, drudzy wspominali o nim nawet niechętnie, ze strachem...

. . . .

Czy żyje »on« jeszcze? Dumał właśnie starzec...

* * *

Tymczasem jak długi i szeroki trzęsie się bór od rzechotu żab i chrapania słonek.

Czasem trudno odróżnić jedno od drugiego, taki gwar się robi.

Hej Boże słonki...

Bywało dawniej...

I teraz jeszcze coś go aż w dołku łaskocze, gdy słyszy ten chrabot, ale niech już tam na inne ręce idą, on im nic złego nie zrobi...

A jak to się rozmnożyło szelmostwo...

. . . .

Z długimi dzioby, ze skrzydły zwisłemi, podobne z lotu do ogromnych nietoperzy, ciągnęły po jednej, po dwie, po kilka naraz.

Leci para, on za nią, ona gwiżdże, on chrapie.

Nadleciał drugi samiec, dogonił ich, dziobnął tamtego. Teraz wszystko troje jęło gwizdać, ścigać się, przewracać w powietrzu, czasem nad samą głową starcowi, jakby go się wcale nie bały...

Zderko patrzał w górę.

Po konarze starej sosny, o korze czerwonej, oświetlonej skłonem zorzy, jak żagiew z ognia migała wiewiórka, spłoszona przez kunę, przylepłą tak do pnia, że trudno ją było od niego odróżnić!

Naraz kuna odkleiła się od drzewa i jak szczupak w płotkę cisnęła sobą w wiewiórkę.

Widać było, jak błysła w skoku białym brzuchem, jak wiewiórka zwisła po niej, niby wiecheć z suchego szczawiu i ziela świętojańskiego.

Przez chwilę słychać było w górze pisk i cmo-

ktanie, parskanie i miauk, jak kiedy koty na dachu zczepią się z sobą.

Starcowi się marzy, że to panicz z Krowicy porywa Hanunię, bo i kamizelka u niego taka jasna, właśnie jak spód u kuny, a Hanunia w ruchach i zgięciu miała coś z wiewiórki.

Poczekaj, drabie...

Ale nim zdołał podnieść strzelbę, grzmot rozległ się po lesie i strzał załamał się echem po drzewach.

Ptactwo zmilkło na chwilę, a kłąb miedzianopłowy z wiewiórki i kuny rozwinął się i każde wpadło w krzaki osobno.

Myślał zrazu Zderko, że mu strzelba wypaliła; ogląda ją, palce wkłada w lufy... Suche... Nie, to nie on wystrzelił, to ktoś inny, i to tuż gdzieś niedaleko...

Stała się cisza, tylko zorza krwawiła korony sosnowe.

Wtem, jakby się coś darło przez gąszcze, jakby łamało gałęzie, i znowu cisza.

Znów niby się dźwignęło, niby stękło w gęstwinie.

Poderwał się Zderko z pniaka, chciał zobaczyć, co to takiego, więc drze się przez krzaki ku miejscu, gdzie się ruszało.

Gdy się tam dowlókł, ujrzał coś, od czego jakby wrósł do ziemi.

Dech staremu zaparło, i reszta krwi mu zbiegła do serca.

Zrazu zrobił ruch, jakby się chciał przeżegnać — potem opuścił rękę na strzelbę i patrzał przed siebie, jak stary orzeł, kiedy ujrzy kozy.

O dziesięć kroków od niego, na suchym pagórku, zasłanym liściem grabowym, leżał, z kłami wbitymi w drzewo, które przegiął aż do ziemi, olbrzymi odyniec, aż siwy ze starości.

Już się zmierzchało i ledwo go można było odróżnić od liści, ale Zderko poznał go odrazu.

»To on«, mruczał, trzęsąc się cały, »on sam«...

. . . .

Czyżby Pan Bóg wreszcie wysłuchał modlitwy Zderkowej, żeby »on« przyszedł na jego ręce?...

. . . .

Żywy? Czy nieżywy? Przechodzi mu przez mózg.

Ta chyba nieżywy, bo pocóżby trzymał w pysku tego dębczaka i tak go zgiął do »świętej ziemi«?

A może się tylko przyczaił, jak wtenczas?

Ale teraz już go nie zwiedzie...

Idzie ku niemu ze strzelbą w rękach, kurki oba odwiódł — nie wierzy mu.

. . . .

Chłód wstawał z moczarów, pruchna świeciły już w borze, i miesiąc podszedł wysoko...

Żaby grały hymn żałosny i tęskny, jak dola chłopska, jak ugory o miesiącu.

Zderko prawie pewny był teraz, że dzik nie żyje, widział wyraźnie do księżyca jego łeb olbrzymi, zwieszony bezwładnie.

Myślał o tem, że ciężką musiał mieć smierć, kiedy aż dębczak przegiął z bólu, i tak został z drzewem w kłach.

Chór żab łkał coraz żałośniej, niby się skarżył, litował nad czemś.

Z kałuż bagien, sitowisk, z pokrytych rzęsą błot szło coś, jak jęk niedoli, niby płacz serdeczny za czemś drogiem, co gdzieś się podziało i nie wróci już nigdy.

Szło po gałęziach brzóz, zwieszonych ku ziemi, po grabach i olchach, po rosie i woni nocnej, szło w pierś Zderkową.

A on przypomniał sobie w tej chwili, jak go ksiądz pytał na ostatniej spowiedzi, czy wszystkim przebaczył, czy nie ma złości do kogo, gdyż »tylko temu, kto wszystko odpuści, będzie odpuszczono«.

Wtenczas to odpuścił »jemu«, darował mu Lwów, i Ksenię, i strzelbę, którą mu przez niego zabrali.

Przywidziało mu się, że klęczy w cerkwi przed księdzem. Słyszał, jak chór zawodzi: »Pomyłuj, Hospody — Pomyłuj!...«

Po rosie słychać dzwony z Sieniawki.

Wieje z nich jakąś skargą nieutuloną, jakimś bolesnym pędem w dal, jak gdyby biegły gdzieś w przestwor ciemny, jakby dogonić chciały prze-

znaczenie i chłopskim zwyczajem podjąć je pod nogi, i jakby czuły, że to się na nic nie przyda.

Pomyłuj Hospody — pomyłuj! Dźwięczą mgły, wonieje noc, modlą się drzewa.

»Pomyłuj Hospody nam wsim« szepce starzec.

Dziwnie robi mu się w sercu.

Coś w nim taje, jak w kwietniu śnieg od słońca — jakaś rzewność wzbiera mu w piersi, jakby rzeki na wiosnę.

Idzie już do dzika bez żalu, bez radości z jego śmierci, jak do druha starego, który poległ w boju.

— Ot na co ci przyszło nieboże — mówi, osuwając się przy nim na ziemię — ot na co.

Oj, nie będziesz ty już chodził po ziemi-mamuni, nie będziesz.

A jakie to kły u niego, jak szabla ułańska, nie darmom ja cię zrobił kapitanem, nie darmo.

Nachylił się, i gładził odyńca po sierści.

— To Ilko — szeptał — Ilko cię sprawił...

Trzebaż ci było chodzić na owies Wasyla, taż Wasyl teść Ilkowi, a Ilko twój wróg największy...

Ręce mu wilgną w ciepłej krwi, w boku dzika pod łopatką namacał dziurę od kuli.

Wtem...

Jak kiedy proch podłożą pod skałą, i szmat łomu wyleci w powietrze, tak odsadziło Zderka od ziemi.

Martwy napozór odyniec opamiętał się nagle, wypuścił drzewo z pyska; zanimby można powstać

z ziemi lub uskoczyć, nadział starca na kły i wyrzucił po nad siebie.

Był to jego ostatni wysiłek.

Runął napowrót na ziemię, a na niego padł Zderko, jak suchy dąb omszony, gdy pada na wzgórze zasłane igliwiem.

* * *

Leżał w miesiącu z piersią rozdartą, ramiona rozwarł szeroko, jakby chciał niemi coś objąć.

Czy żegnał bór, czy cisnął do piersi Hanunię?

A może ujrzał duszę Parani w świetle miesięcznem?...

Od strony zrębu, gdzie las był rzadszy, wysunęło się coś czarnego, jakby człowiek szedł z psem, i jakaś postać ludzka pochyliła się nad Zderkiem.

— Hospody! — jęknął — to ty Ilko... Tak było sądzone...

Ty jego, a on mnie...

Krew bryznęła mu z piersi, z ust...

* * *

Wstał wiatr, gdzieś z głębin kniei, zagwizdał, zajęczał w koronach sosnowych.

Szedł zrębem — cmentarzem, niby płacz żałobny za czemś, co gdzieś się podziało, i nigdy, nigdy już nie powróci...

. . . .

SEN KIRYŁY.

Było to w Smolinie, w połowie czerwca, na święty Antoni, w śliczny dzień słoneczny.

— Trastia was z odpustom — krzyczał Kiryło z progu chałupy do żony Małanki, która szła z dziećmi na odpust w Horyńcu.

— I ty, i Małanka i Jewka i Hryć, a kapusta sama się wyplewi, a krowa sama się wydoi.

— Kapusty i tak nie można plewić w posuchę, a krowę wydoi Kudinycha, ozwała się Małanka już od wrót podwórza.

— Tak wydoi, a co przytem wyżłopie — mruczał Kiryło. — Choroba na was wsich, — klął jeszcze za nimi, kiedy już byli na gościńcu. Postał chwilę na progu, potem podparł kołkiem drzwi chaty, i powlókł się do sadu. Szedł ścieżką wydeptaną w trawie, pomiędzy stare grusze sękate i dziwnie pogięte jabłonie. Ich gęste, splecione górą gałęzie, miały w sobie coś z mrocznych świątyń pogańskich. Szmaragdowy chłód wiał od nich i zapach ziół i miodu i jakaś senność chłodna, rzeźwiąca. W głębi ogrodu z krzaków agrestu i malin czerniało parę daszków słomianych, zbutwiałych

i krzywych, strzępy słomy z nich zwisały. Pod nimi kryły się ule z dużych, starych kłód wierzbowych.

Do jednego z nich podszedł Kiryło, rękę włożył pod daszek, wydobył z pod niego flaszkę z wódką.

Przygląda się jej do słońca, odchylił w tył głowę, podniósł do ust butelkę i ciągnął z niej długo, aż wreszcie schował flaszkę napowrót, splunął na ziemię, i legł w trawie pod jabłonią. Zapalił fajkę i czekał na rój.

Dziś go się spodziewał z leżaka, co stał pod czereśnią. Czekał, i czekał, ale rój nie wychodził. Po zielono-złotem tle sadu snuły się pszczoły żywym różańcem. Jedne wylatywały z ulów wartko, jak kamyczki wyrzucane z procy, inne wracały ciężkie, obładowane, niosąc na nóżkach czerwone i żółte kuleczki. Niektóre były tak pełne, że padały tuż przy oczkach uli na liście, czepiały się żdźbeł trawy, pięły się po nich w górę. Kiryło patrzał leniwie w żywą strugę płynącą powietrzem, jak kamień nadbrzeżny patrzy w bystry potok górski, wreszcie głowa poczęła mu ciężyć i kiwać się, fajka z ust wypadła, i zasnął w brzęku pszczół.

. . . .

Tymczasem od Radruża z za wzgórz Sopockich poczęły wysuwać się ciemne obłoki, i głucho zagrzmiało z daleka. . . . .

. . . .

* * *

Śni się Kiryle, że jest w Horyńcu, na odpuście u Franciszkanów.

Ścisk, pełny kościół ludzi, cały cmentarz jak napchał.

Za niskim murem cmentarnym od wczoraj ciągną się kramy w półkole, a w nich obrazki, medaliki, chusty, paciorki, szkaplerze, lusterka, fujarki.

Właśnie wyszła procesya na pastwisko między kościołem a cerkwią, na wielki wygon gminny porosły kępami mchu. Tłum ludzi znajomych i obcych, chłopów, państwa, księży, a wszyscy patrzą czegoś w niebo. Wśród nich widzi księdza ruskiego z Radruża w czerwonym ornacie, i dyaka w kapocie i braci cerkiewnych i chorągwie niebieskie, żółte i czerwone. Idą i polscy księża świeccy i Franciszkanie z Horyńca, dwóch w komżach, trzeci w złotym ornacie. Nad tym bractwo niesie baldachim. Organista trzyma talerz z wodą i kropidło, chłopiec z mszałem w białej komeżce przyklęka i dzwoni. Ludzie klękają, w rękach mają świece płonące, a wszyscy patrzą czegoś w górę...

Z nad lasu idzie ogromna czarna, smutna chmura, idzie prosto na słońce.

Już je dosięga, już skryła je w pół, tylko jeszcze na dachu cerkwi, na wieży kościelnej błyszczą smugi świetlane. Zerwał się wicher, pogasił świece, zagwizdał, zawył, jak potępiona dusza, kłębił chmury.

Nito stada ptactwa czarnego wyganiał je z za lasu, zasnuwał niebo nocą.

Błysło — zatrzęsła się ziemia od gromu, a łan ludzki, jak zboże przed burzą, pochylił się ku trawie. Widać było wzniesione ręce księży, jak chmury żegnały. Jękły dzwony w kościele i w cerkwi, jak to bywa, kiedy ludzie chcą grad odpędzić. Naraz zcichło na chwilę, tylko dzwony jęczały w ciemnościach. Znowu błysk i potworny wąż miedziany rozpruł chmury od końca do końca.

Nagle, niby niewidzialne ręce rozwarły obłoki i wykwitł z nich blask nieziemski. Aż ślepiło, nie można było oczu podnieść.

Cała jasność światów zdawała się zlewać w słońce, słońc we wzrok Boga. Świetlane ręce spływały po chmurach, kłębiły je w wał, co niby ramię jakiejś olbrzymiej wagi, zawisł w przestworzu. Od niego zwisały smugi chmurne jako sznury, a na nich uczepione chwiały się dwie łódki obłoczne, jakby szale wagi.

Kiryło leżał twarzą do ziemi...

Wtem uczuł, że coś podjęło go pod ręce, i głos słodki usłyszał, jakby brzozy szumiały na wiosnę:

— Kiryło wstań, to ja, Anioł, twój stróż.

Wstał Kiryło, nogi pod nim się trzęsą, przesłonił oczy od blasku, patrzy:

Chwieją się łódki na wadze, jedna lśniąca srebrem obłocznem, druga ciemna jak ołów. Stoi

przy jednej jasny Cherub ze skrzydły białemi, jakby je utkał ze śniegu, albo z pierza białych gołębi.

Tymczasem przy drugiej łódce czarny obłok wydyma się w potężny kształt ludzki, ciemne skrzydła mu rosną, wyrasta z karku czarna głowa i mówi:

— Na sąd Kiryło, na sąd.

— Na sąd Kiryło — ponuro szło po wygonie, łamało się echem po drzewach lasu.

Biały Anioł podszedł do Kiryły, podtrzymuje go ramieniem.

Z góry wciąż leje się światło, aż oczy mdleją i głos słychać z wysoka:

— Co sądzić o tym człowieku?

Znów upadł Kiryło, do stóp się usunął jasnego Anioła, a on jedną ręką twarz przesłania, drugą złożył na czole człowieka, i mówi, jakby granie skrzypek szło po ugorze:

— Biedny był, ziemię kochał nierodną, skiby potem polewał.

Białe, niebieskie i żółte chorągwie, jak pierwiosnki po deszczu, chylą się ku ziemi, jakby świadczyć, jakby się skarżyć chciały, że ona biedna, postna, jałowa.

Poruszył się duch ciemny, zamigotał ogniem w oczach, świszcze, ni to wicher po pustkowiu:

— Dzieci bił, żonę kopał, pił, kradł.

A z obłoku jasnego idzie głos, niby śpiew fujarki pastuszej po łące:

— Głodem mdlał na przednowku, pościł, grad mu zboże wybijał, mróz warzył kwiat na kłosach.

— Grad zboże wybijał, mróz warzył kwiat na kłosach — szło żalem po tłumie.

Zasyczało w czarnem widmie, jak kiedy kto węgle rzuci na wodę:

— W karczmie siedział, pił na kożuch ojca, na chustę matki. Zmarł stary od mrozu, matka poszła na żebry...

Zachwiał się jasny Anioł, puścił głowę Kiryły, twarz skrył w dłonie.

— Spowiadał się, kajał, żałował — mówi cicho, jak kiedy w wieczór jesienny pajęcza przędza pada na ściernie.

— W grzechu zmarł — huczy duch czarny, a słowa jego padają w ciszy, jak kamienie na wieko trumienne.

. . . .

»Na wagę« rozbrzmiało ze słońca.

I stało się Kiryle, jakby mu się pierś rozwarła i wychodziły z niej grzechy, niby gady na wiosnę z pod ziemi.

I jakby mu łuski z oczu opadły, widzi wszystko inaczej, niż przedtem, jaśniej jakoś i dziwniej. Widzi, jak czarny duch bierze jego grzechy i niesie je do ciemnej łodzi wagi, a ona opada pod nimi coraz to niżej.

Beczki z wódką wypitą, skradzione drzewo

i snopy, kożuch ojca, chustkę matki, wszystko nosi na wagę.

Anioł biały opuścił ręce, jak lniane dwa powisma i patrzał przed siebie jako kwiat na kośbę. Patrzał, jak czarny duch zanurzył się w tłum ludzki, jak wyszedł z niego z ciężarem u ramion. Na jego ciemnej piersi zwieszał się nagi starzec i jakby widmo umarłej z głodu kobiety. Wlókł ich powoli, wśród szemrań tłumu, niby wśród mruku ponurych, groźnych fal.

Stanął pod wagą, zdjął ciężar z siebie, złożył go na drzewo, na zboże, na chustę, na kożuch. Głowa zwisa starcowi z chudej szyi, trzęsie się jak z zimna, rękami szuka kożucha.

Twarz kobieca zapadła, oczy w niej zagasłe, ustami rusza, jakby coś żuła. W wyschłej chudej ręce ściska coś czarnego, może kawał chleba suchego, a może garść ziemi, którą jadła z głodu...

Wszedł znów duch nocy w tłum, a on rozstępował się przed nim, jak zboże rozstępuje się pod piersią odyńca. I wywiódł z niego młodą, bladą kobietę z sińcami na twarzy i po rękach. Dwoje chudych dziewcząt o cerze ziemi, o wzroku ziół jesiennych czepiało się jej płótnianki.

Poznał Małankę Kiryło i córki swoje poznał, Matronkę i Jewkę. Z tyłu za niemi idzie wątły chłopczyna w koszulinie, z palcem w buzi, z pod pachy sterczy mu orczyk splamiony krwią, a on go cisnie do siebie.

Kiryło poznał orczyk. Był to ten sam, który kazał ukraść Hryciowi ze dworu, z pod szopy, a Hryć uciekł wtenczas w pole i błąkał się cały dzień po miedzach między zbożem, a kiedy wrócił wieczorem do domu, Kiryło zbił go tym samym orczykiem, zbił go aż do krwi.

Ukradł go sam, bo dziecko nie chciało...

Chłopak jasne miał włosy jak len, na skroniach zlepione plamami krwi. Oczy płonęły mu takim smutkiem, jak zachód po bagnach na pustce. Ziemia niemi płakała. Łąki niemi tęskniły. Jałowe pola w nich były i słoty jesienne. Gdzieś w step patrzyły, w dal siną bez końca, w dal, która ucieka i którą się goni napróżno. Była w nich nędza Doli, jakiś wyrok odwieczny, że musi być tak jak jest i inaczej być nie może. Było w nich coś, czego nie jest się winnym, a na co się cierpi, choruje, umiera, choć samemu nie wie się za co.

Wiódł duch kobietę z dziećmi, wiódł ich ku wadze. Hryć szedł z tyłu, z palcem w ustach, z orczykiem pod pachą. Nagle stanął i patrzał. Senne oczy jeszcze szerzej mu się rozwarły, dziwne światła w nich rozbłysły.

Szedł ku niemu jasny Anioł, jak zapach kwiecia idzie wiosną na niwy, jak wiew wieczorny idzie na kwiaty. A on patrzy w niego jak w zorzę, jakby znalazł wreszcie to, za czem tęsknił na łąkach, czego szukał po miedzach odludnych. Szedł ku niemu i ręce doń wyciągał, a on mu się podał

jak lilia wodna podaje się fali. Upuścił orczyk, wyjął palec z ust, rączki obie wyciągnął...

Patrzy na to Kiryło, i coś mu się dzieje w piersi, czego nie zaznał dotąd nigdy, coś go tam dławi, podchodzi mu do krtani, do oczu...

Wziął Anioł Hrycia na ręce, niesie go do ojca.

A jemu pierś faluje włochata, jak kępa ziela wodnego, kiedy nią fala porusza.

Wyciągnął ręce do dziecka...

Ale Hryć ze strachu odwrócił główkę, schował ją na pierś Anioła, cisnął się do niej.

— Hryciu — jęknął Kiryło.

Chłopak coraz mocniej tulił się w Anioła...

. . . .

Duch czarny podniósł orczyk, który Hryć upuścił, kładzie go na wagę. Schwyciła go matka Kiryły, niesie do ust, gryźć go poczęła. A Kiryle pierś faluje, jak wody sadzawki, gdy Anioł w nie wstąpił, i tak w niej łka, jak matka łka nad martwem dzieckiem. Łkał nad dolą swoją, jakby wypłakać chciał nieszczęsną, jakby wskrzesić nią pragnął rodziców, rozgrzać ojca, nakarmić matkę. Łkał, jakby odmienić chciał dolę niezmienną, jakby jej chciał odebrać całe życie swoje, i rozpocząć je na nowo. Łkał za czemś, co stać się nie mogło, jak ziemia łka za wiosną o późnej jesieni. Zadrżały jaskry, zachwiały się dzwonki i cykorye.

Pochylił się Anioł nad Hryciem, pocałował krew na skroni, szepce mu do ucha:

— Tato płacze, tato płacze.

— Tato płacze, — jękły dzwony, podjęły dyaki, płakał tłum.

Patrzy Kiryło, ksiądz polski biały jak chusta. Jakaś świętość bije mu z twarzy, gdy z pod baldachimu wznosi ręce z Hostyą i mówi:

— Jako piasek nad morzem, jako gwiazdy na niebie, nieprzebrane miłosierdzie Twoje Panie!

Z kościoła słychać stłumiony głos organów. Idzie przez wąskie okna, nad morze ludzkich głów, schylonych pokotem, po smukłych topolach, po krzyżu na wieży, idzie prosto do Boga.

Jak matka śpiewa dziecięciu, jak chabry pieszczą kłosy żyta, jak krewni śpiewają duszom zmarłych w święto »wspominek«, tak Anioł śpiewał Hryciowi do ucha:

— Tato płacze, tato płacze!

I znów go całuje po skroni...

Kopuły lip odwiecznych przy cerkwi, złote od pączków, zdają się wzbierać i szerzeć i pachnąć:

— Ty, który dajesz życie i kwiat, bierz od nas cień na krzyże i miód na ołtarz, oddamy ci wosk na świece, niech jarzą się przed Tobą dzień i noc, ulituj się.

. . . .

— Rab Twój Boże płacze, płacze dziecko Twojej ziemi — błaga ksiądz ruski, a dyak i pałamarz i chór cerkiewny jęczą:

— Światyj Boże, światyj krypkij, światyj bezsmertnyj, pomyłuj nas! — pomyłuj raba Kiryłę!

— Święty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny, — śpiewają Polacy.

Pochyliły się chorągwie, zdają się modlić barwami kwiatów łąkowych, szelestem osicznym, chwianiem się nadrzecznych łóz.

Coraz to mocniej tuli Anioł Hrycia do piersi, coraz słodziej mu szepce:

— Tato płacze, tato płacze!

. . . .

Aż stało się chłopcu, jakby uchwycił wreszcie to, za czem napróżno błądził po wydmach, co zawsze słyszał w skrzypcach pastuszych, co chciał wygrać ze serca na dudce wierzbowej, a czego nigdy nie mógł wyśpiewać aż do dna. Patrzał teraz na łzy Kiryły i działo mu się coś takiego, co dziać się musi kwiatom, kiedy po chłodzie nocnym pada na nie pierwszy brzask słoneczny.

Miękł, jak ziemia wiosenna mięknie od deszczu i twarz mu się krzywiła od płaczu. I rozplótł rączki ze szyi Anioła, wyciągnął je ku ojcu:

— Tato, tato, nie płacz! — i sam się rozpłakał.

— Tato, tato, nie płacz! — prosi słońce, szepcą kwiaty, szeleszczą chorągwie.

Pochylił się Anioł nad Kiryłą, jak lilia chyli się na grzędę, oddaje mu dziecko, a ono lgnie do niego, niby płatek jaśminu do kory dębowej.

Pierś Kiryle rozsadza, jakby w nią wchodził cały zapach lata, jakby ją szczęściem cały raj roz-

pierał. I płacze, a łzy jego ciekną po głowie Hrycia, po ranach na skroni, po całem ciałku jego wychudłem.

Idzie coś od nich, od ojca i dziecka, jak zapach deszczu letniego, kiedy pada na zboża, jak tulenie się do siebie snopów w półkopkach, kiedy je chłoszcze ulewa. Idzie na księży, na bractwa, na morze ludzkie, rozlane po łące. Jeszcze niżej chylą się głowy, wzbierają piersi, kajają się usta:

— Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, zmiłuj się nad nami! — płynie po mchach pastwiska, drży na listkach stokrotek, chwieje trawami...

. . . .

— Podaj Hospody, podaj! — jęczy chór cerkiewny, modli się ugór, śpiewają lasy.

I oto bierze Anioł Hrycia, zlanego płaczem Kiryły i swoim i kładzie go na wagę. Przestał trząść się dziadek Hrycia, babka orczyk żuć przestała.

Jakaś cisza słodka przyszła im na rysy.

. . . .

Waga poczęła iść w górę, Kiryło się zbudził.

*
* *

Przeciera oczy, patrzy: Leży w sadzie pod jabłonią, dokoła zlane wszystko deszczem, rosy szklą się na trawie, na liściach drzew.

Słońce w nich się kąpie, powietrze pachnie jeszcze burzą.

. . . .

Małanka z dziećmi przyszła z odpustu.

ICH LIPA...

Rozkosznie było po ciepłym deszczu lipcowym.

Drzewa lśniły mokrem złotem skąpanych liści, młode pędy sosnowe woniały po lasach. Rzeźwość, życie biły zewsząd.

Raźnie szumią po łąkach potoki, słońce gra, ślizga się po ich łuskach. Czasem giętkim łukiem wyskoczy z wody ryba, jakby zaczerpnąć chciała woni i blasku i znika w przepalonej złotem fali...

— Pachnie święta ziemia, pachnie rodzona — mówi ślepy dziad Makar do wnuka swego Jurka, który go prowadził.

Szli z Kalwaryi przemyskiej z odpustu do Sieniawki koło Lubaczowa.

W Sieniawce mieszkali rodzice Jurka, syn Makara, Mykita, z żoną i czworgiem dzieci. Jurek był piąty, ale że ogłuchł po szkarlatynie i do roboty sił miał niewiele, pozwalali mu włóczyć się ze starym.

Bieda była w chacie, trudno się było wyżywić, zwłaszcza na wiosnę, więc chłop i jego żona radzi byli, kiedy dwóch nierobów ubyło z chałupy.

Nie byli oni w niej zbytnią zawadą — w zimie

mieli kąt za tapczanem w ciemnym, wilgotnym rogu izby, a w lecie spali na dziedzińcu pod starą lipą, o której jeszcze dziad Makara mawiał, że kiedy był dzieckiem, pamiętał drzewo tak grube, że go dwóch ludzi objąć nie mogło. W starem drzewie pełno było dziupli, w których ptactwo gnieździło się z wiosną.

Bywało Makar budzi się o świcie pod lipą, słyszy: ptaki wylatują z gniazd, opuszczone młode kwilą z głodu.

Budzi dziad Jurka, podaje mu torbę, wskazuje drzewo głową. Bierze chłopiec chleb, drobi go, wspina się do dziupli, podaje ptaszkom. A one dzioby rozwarły szeroko i chciwie niemi karm chwytają.

— Sami nie mają co w gębę włożyć, a marnują chleb Boży — mruczał wtenczas Mykita, a nieraz i powybierał pisklęta i kazał je sobie zgotować, a jedząc, mówił na złość staremu i chłopcu: — Dobrzeście je wykarmili, smaczne, tłuste.

— W sam raz kompania — tłumaczył żonie, gdy się Makar z Jurkiem wybierali na włóczęgę: — jeden ma oczy, drugi uszy; w sam raz kompania.

A oni dawali sobie jakoś radę i mało kiedy, szczególnie latem, zaglądali do domu. Włóczyli się po odpustach, chodzili pod Przemyśl, do Leżajska, do Kochawiny, za Kraków aż do Kalwaryi; nawet w Częstochowie byli kilka razy.

* * *

Nie zawsze był to lekki kawałek chleba. Wyszturchali ich, bywało, w tłumie, wygnietli, wybili ich inni żebracy, raz nawet mało co nie udusili w Kalwaryi podczas wielkiego jubileuszu, kiedy w upale, w kurzu, wśród bicia dzwonów, w ścisku ludzkiej szarańczy, procesya ciągnęła się przeszło na milę.

W końcu jednak, mimo niechęci innych dziadów, patrzących zawistnie na »cudze« przybłędy, pomimo oberwanych sińców i guzów, zawsze tyle zebrali, że można było jakoś wyżyć.

— Matko Najświętsza, Kalwaryjska, Częstochowska, Kochawińska, Sokalska, Jezu Milatyński, dajcie zdrowie, szczęście, panowanie, a po śmierci zmiłowanie! — błagał dziad żałośnie, a ten i ów, widząc jego ślepe oczy, i bladą, nędzną twarz chłopca, rzucił coś do kapelusza...

Nie byli już w domu od kilku miesięcy, a choć wiedzieli, że nic ich tam nie czeka dobrego, tęsknili do swojej wsi, do jej drzew, do lipy, do rodziny, do chałupy.

Idą gościńcem, z obu stron drogi zielenią się zboża, przetykane bławatem, rumiankiem. Dojrzałe żyta leżą zbitą ławą podaną od wiatru; puste białe kłosy sterczą z nich gdzieniegdzie. Sine wyki pną się po źdźbłach jęczmienia, po zielonych jeszcze owsach żółcieją gorczyce, czerwienią się maki.

Słońce chowało się za bór, kładło ostatnie plamy na łany pszeniczne, po kałużach ugorów.

— Pachnie — mówił dziad i zwracał głowę oślepłą za każdym nowym zapachem, wyciągał suchą szyję na każdy nowy podmuch wiatru. — Hreczka — mruczał — zanosi miodem, pszczoły na niej stoją.

Coś go ciągnęło do tego łanu skwitłego mlekiem, jakby go brała jakaś słodka, miękka siła i gięła ku sobie.

Był już zmęczony, bo szli od rana i trzeba było spocząć, posilić się.

Usiadł w trawie na miedzy pod hreczką, siwy jak ona, zdjął sakwy z pleców, dobył z nich jedzenie: ziemniaki gotowane w łupie, które mu dali chłopi z »połudenków«, kawał chleba czarnego i sera rozłożył na brudnej, krasej chuście.

Tymczasem Jurek, jak derkacz, zaszył się w żyto po drugiej stronie drogi i po chwili wyszedł z niego z dzbankiem wody, której zaczerpnął z ruczaju na łące i z całą naręczą kąkolu i chabrów.

Poszedł do starca, usiadł przy nim, dotknął kwieciem jego twarzy. Makar schował ziemniak za pazuchę, pociągnął ręką po kwiatach, macał główki, łodygi.

— Bławat, kąkol... dobrze, żeś wyrwał... to on zasiewa, Pan Bóg tego nie lubi — mówił do chłopca choć wiedział, że nic nie słyszy.

Jurek patrzał teraz w sieć pajęczą, rozpiętą pod zorzę na wpół uschłej, starej wierzbie przy-

drożnej. Duży pająk siedział skulony w kącie siatki. Kilka puchów ostowych chwiało się w niej od wiatru.

— Pająk — uśmiecha się Jurek — tam na wierzbie nastawił sieć na muchy, a schwycił nasienie z bodaków.

— Bywa tak na świecie, bywa i z ludźmi... chcesz czegoś, starasz się, harujesz, a niezawsze Pan Bóg da to, co człowiekowi ćwiekiem w głowę wlazło... a może tem lepiej — westchnął Makar i podsunął chłopcu chustę z wieczerzą.

Trzyma Jurek w jednej ręce kawał chleba, drugą szarpie dziada za rękaw:

— Miesiąc, dziadku, taki cienki, rożkami do góry, tam nad ługiem.

— Na pogodę — cieszy się dziad, ślepe oczy wznosi w niebo i modli się do księżyca:

Misieczok na nowiu
Daj nam Bożе w zdrowiu
Szczastływo prożywaty
Sto lit doczekaty.

Misieczku śrybneńkij —
Daj nam Boże lito
Na przenyciu, żyto,
Jaczmiń zołotenkij.

Na sady, na łuhy
Świty. Błohosławy
Boronam, płuham.
Chudobi i nam.

W dali odłogami wracało bydło z paszy, beczały owce, hukanie pastuchów zawodziło po lesie i łąkach.

Pachło żniwem. Woń zżętej słomy, więdnących ziół i potu ludzkiego zdawała się już przesiąkać powietrze.

Rozświerkały się polne koniki, świerszcze; gdzieś zdaleka zaniosło łubinem. Koszone łąki aż durzyły, upajały zapachem, tak, że chciałoby się pławić, kąpać się w nich, albo brać siano i rzucać po świecie, żeby wszędzie tak pachło, jak tutaj. Z hreczek płynęły strugi miodowych tchnień na pola, łęgi, na lasy. Z lip lała się słodka powódź upajająca, zdawało się, het, daleko, na cały świat chyba...

Pola przemieniały się zwolna w zaczarowaną łąkę olbrzymią. Na kłęby woni spływały cicho szare skrzydła Mroku, brały senną Duszę ziemi i niosły ją w tajemny odmęt wieczoru.

Cichną chrzęsty kos po łąkach, głosy ludzi i bydła, tylko słychać po rosie hukanie stróżów, pilnujących pól od dzików. Gdzieniegdzie błyskają ogniska, a siwe ich dymy snują się w dziwne kształty po mgle wieczornej. Niektóre wyglądają jak białe giezła kobiece, rozsnute po trawie, inne wieszają się na drzewach, niby sine wstęgi, rozwiane przez duchy lasów i pól. Dym miesza się z mgłami, raz rozściela się równo ponad mokradła, to znów przybiera kształty dziwnych widm, jakby

go jakaś niewidzialna ręka w nie zaklęła. Chwilami rozwija się w korowód cały zwiewnych wiotkich mar.

Zdawało się, że się budzą wille w zaroślach, że z potoków wychodzą rusałki, że marzanny płyną z kwiatów. Za ręce się wzięły przeźrocze, zatoczyły krąg nad strugą, wieją nad trzciny, jak z sieci pajęczej utkane.

Jakaś krasa ciemna, jakiś mroczny urok pogański spływał na ziemię. Miesiąc kłonił się za bór, ale widno było od gwiazd; droga mleczna olbrzymim białym gościńcem przecinała ciemnie błękitu.

Pozbierał Jurek resztki wieczerzy, włożył dziadowi sakwy na plecy i kij do ręki.

— Rosa pachnie — cieszył się ślepiec i wciągał chciwie oddech nocy w wyschłą pierś, spaloną słońcem.

Poszli w mrok...

Dniało zaledwie i wieś dopiero budziła się ze snu, kiedy Makar z Jurkiem do niej wchodzili.

Tu i ówdzie jakaś baba rozczochrana niosła cebrzyk z jadłem do chlewa, albo zaspana, ciepła jeszcze snem dziewczyna szła z próżnym skopkiem do stajni.

Otwierały się drzwi stodoł, skrzypiąc w drewnianych zawiasach. Młode koguty piały na różne głosy po wsi, jakby się uczyły piać dopiero, albo jakby chciały stare przedrzeźniać.

Dochodzą do chaty, serce bije czegoś dziadowi, ściska mocniej Jurka za rękę. Tylko czekać, aż »bosy« wypadnie ku nim ze szczekaniem, potem ich pozna i skakać zacznie po nich i łasić się, wąchać po sakwie. Ale nie ma go dzisiaj, pewnie wybiegł w pole i włóczy się za zającami po rosie.

Nagle Jurek stanął.

— Co?

— Lipy nie ma w podwórzu — krzyknął chłopiec.

Przychodzą pod wrota, puścił dziad chłopaka, wyjmuje z wrót kołek, wchodzą w dziedziniec, idą prosto, gdzie stała lipa.

— Ścięli!... pniak tylko został — płacze Jurek.

Nie wierzy Makar, odrzuca kij, pochyla się ku ziemi. Wyciąga ręce przed siebie, rozwiera je szeroko, dotyka się gładkiej, ściętej powierzchni pniaka, maca korę po bokach.

— Piłą rznęli, piłą...

Siły nie miał powstać, objął pniak rękoma.

— I graby ścięte, i dąb — szlocha Jurek i pszczół nie ma.

— Przemienienie Pańskie! — szepce dziad zmienionym głosem — »Omama«, czy co?

Coś mu się dzieje takiego, jakby mu ktoś ucinał ręce, wyrwał nogi ze stawów.

Zdaje mu się, jakby ta piła, którą rznęli lipę, przecinała go wpół, jakby mu do gardła skakała.

Opuścił ręce po pniu...

. . . .

Skrzypnęły dzwi chaty i jakieś ciężkie kroki szły podwórzem.

— Do Mykity? — ozwał się głos Niemca kolonisty. — Nie ma tu nikogo już; pojechali do Ameryki, a ja to wszystko od nich kupił, i chatę, i ogród, i pole, i łąkę...

— Do Ameryki! — jęknął Jurek.

— I ogród, i pole, i łąkę... — powtarzał dziad, jak we śnie.

I znów skrzyp drzwi i cisza.

Niemiec wszedł do chaty i wrota za sobą zaparł.

Koło pniaka ściętej lipy stoją Makar z Jurkiem.

Chłopak patrzy na pustkę tam, gdzie była chmura liści i kwiatów, które na niego niegdyś leciały; dziad słucha ciszy nieprzerywanej już szumem gałęzi, ani życiem tulących się w nich ptaków....

Z mgieł sinawych coś się złocić zaczyna. Trysnęła jedna, druga strzała promienna, purpurowa. Pomilkły koguty, ucichł skrzyp żórawi studziennych; nastała chwila takiej ciszy, jakby się świat gotował do jakiejś wielkiej, przepotężnej chwili. Zmąciły ją nagle wesołe głosy ludzi, śpieszących do żniwa; słychać je było coraz to bliżej, wyraźniej...

Wtedy Makar ujął Jurka za rękę i bez słowa począł prowadzić go drogą, którą tu przyszli.

Skoszonemi łąkami, pomiędzy pochylone dojrzałe żyta, w rozpiętej sinej mgle, poznaczonej ru-

binem słonecznych strzał, poszli obaj, dziad i wnuk, trzymając się za ręce. Widać ich było długą chwilę, jak szli milczący, zgarbieni, zagaśli.

Szli zrazu szybko, jakby chcieli uciec od czegoś, a potem już wolno, nie śpiesząc się — bez celu, bez wiedzy — bez myśli...

Aż wreszcie znikli, rozpłynęli się, jak dwa widma w tumanach mgły.

ĆMA.

Był letni ciepły wieczór, który kwiaty rozchylał, a cichy, że słychać było, jak pąki złotogłowiu otwierały się w kielichy.

Lekki wiatr z południa chwiał puchem mleczów po trawach.

Ciemno tylko od wielkiej lampy łukowej, wiszącej wysoko wśród świerków, idzie fala światła — kładzie się po nieruchomych kiściach drzew, po pustych ścieżkach ogrodu. Płyną w noc milczące promienie, drżą kołem tęczowem na ciemnem tle smreków, ścielą się cicho po ziemi.

Dokoła wszystko śpi, tylko w świetlanym kręgu lampy snuje się srebrem, tańczy, wiruje rój drobnych motyli nocnych, podobnych do płatów śniegowych w smudze księżyca.

Jasność odcina ten kąt parku od reszty czarnej gęstwiny, od lasu po za nią, od gór, od nieba.

A z tego odmętu nocnego, z morza kiru, jak błędne białe duchy płyną i płyną coraz nowe motyle i coraz gęściej srebrzą się w świetle...

. . . .

Od czasu do czasu jak szatan z ciemności, wyłoni się z nocy nietoperz, cichym łukiem przetnie smugę świetlaną, pochwyci zamodloną w lampie ćmę, wchłonie ją w czarne swoje widmo — i ginie w mroku upiorem...

Opodal nad trawą, ponad klombem rezedy, krąży samotna, duża, biała ćma...

. . . .

Na ławce pod świerkiem siedzi przytulony do drzewa szary cień dziewczyny i patrzy w grządkę rezed.

Jej matka lubiła te kwiaty i sadziła je co wiosna w ogrodzie przy domu.

Latem na zielono-różowem kwieciu stały pszczoły i nieraz w ich brzęku, w cieniu leszczyny i śliw, usypiały dzieci na chłodnej murawie w zapachu lip, maków, kopru.

Przez senną woń warzyw przewijały się smugi rezedowych tchnień, miękkich, pieściwych, jak matki myśl o dzieciach.

Patrzy dziewczyna na klomb oświetlony strugą białego światła i przypomina sobie matkę, jak idzie w rzeźwy, jesienny ranek po spadłych świeżo żółtych liściach, jak pochyla się nad kwitnącą jeszcze gdzieniegdzie rezedą, oszronioną rannym przymrozkiem, odrywa z niej nasiona, chowa je w torebkę z papieru.

Dzięcioł stuka w suchą iwę; zdaleka słychać żórawie; od pól wieje zapach oranej ziemi.

Śni o tem dziewczę, chyli się pod ciężką, ciemną falą swoich włosów, myśli o zmarłej dawno matce.

Ze wspomnień dzieciństwa wstaje mu w duszy jej obraz, płynie z mroków w senne światło, na kwiaty spowite w letargiczny, zaziemski spokój — zwisa nad klombem rezed na skrzydłach białej ćmy samotnej...

. . . .

Gasła lampa, biały jej płomień roztlił się jeszcze na chwilę w punkt czerwony, bezpromienny.

Zdziwiony rój motyli, odpłynął wstecz, wrócił, aż wreszcie niepewny, błędny, rozsnuwać się zaczął po nocy...

. . . .

Szary cień kobiecy patrzył w śnieżną zjawę dużej ćmy, aż kiedy i ona rozpłynęła się w ciemności, podniósł się z ławki, i zlany już z mrokiem, zwolna odszedł ku willi w ogrodzie...

* * *

Nazajutrz rano widać było u okna willi szaro ubraną dziewczynę.

Patrzyła w ogród przez szybę.

Parno było i duszno.

Od gór kłębami leciał gorący halny wiatr, szalał wpadając na regle, skrzydłami bił w smrekowe łąki, rozchwiewał, rozwichrzał korony drzew.

Wyginały się gałęzie smreków, podobne do ramion błagających litości; zdawało się, że uciec chcą przed śmiercią, że wyrywają się gdzieś w dal z więżącej je ziemi.

A wiatr je giął oszalałe lękiem i łamał wpół i rwał z korzeniem.

One, jakby im żal było życia, czepiały się gruntu, skał.

Ale orkan wydzierał je ziemi z piaskiem, z głazami, którychby człowiek nie ruszył.

Kładł jedne na drugich, z kamieniami, z iłem w pogiętych korzeniach.

Od regli leciał, pędząc chmury przed sobą, wpadał w dolinę, rozwalał chaty, trzeszczał, jęczał, gwizdał, wył w wiązaniach dachów, rozrzucał je jak słomę — brał z sobą.

Chwilami cichł, lecz znowu wracał straszniejszy, wścieklejszy, jakby w spoczynku czerpał moc niszczenia. Tumany kurzu, zmieszane z płomiennem tchnieniem wichru i z chmur kłębami słoniły świat.

A z tego morza rozszalałych sił szedł groźny głos i grzmotem wstrząsał przestwór — piorunem go zapalał...

. . . .

Aż wreszcie, jakby się niebu żal stało stworzeń i drzew łamanych, i ziół przelękłych, tulących się trwożnie do ziemi, na gniew cichnących zwolna gromów, na juhasów i osłupiałe owce po halach,

na połamane świerki, na owsy dżdżu spragnione — trysnęły ze źrenic burzy ulewne strugi łez...

. . . .

. . . .

. . . .

Duża biała ćma spała w gęstwie drzew na rudej korze świerkowej, kiedy nagle zbudził ją orkan, oderwał od drzewa i cisnął w deszcz.

Przez wielkie krople dostrzegła ją z poza tafli szyby dziewczyna, jak rozespana, oślepła, unosiła się przerywanym lotem na ciemnem tle świerkowych łąk, zawisając chwilami nieruchomo w powietrzu, lecz wnet porywał ją wicher i niósł w deszcz coraz większy.

Każde uderzenie jego chłostało jej miękkie ciałko, biło ją po skrzydłach, ubezwładniało coraz więcej...

A z duszy dziewczyny, patrzącej na to, wyłaniać się począł zatarty już w pamięci obraz podobnej walki z siłą przeznaczenia.

Postać jej matki, wstającej z długiej niemocy, widmowa bladością tych, którzy zajrzeli już w grób.

Białe szaty otulają wychudłe jej ciało — długie, białe szaty powiewne.

Gdy podnosi ręce, fale miękkiej, śnieżnej wełny spływają jak skrzydła, mówią jej: Wstań, jesteś już zdrowa, możesz wstać.

Ona, z trwożną nadzieją w ciemnych oczach,

podnosi się wolno i posuwa ku fali słońca, idzie w świat, do życia...

Nagle — dzieje się coś strasznego.

Ręce jej wyciągają się w przestrzeń, drżą skrzydła białych rękawów, wirują, oczy otwierają się coraz szerzej — ogląda się, chce wrócić w zaciszny kąt łóżka, gdzie więdnie pęk kwiecia u stóp ukrzyżowanego...

Za późno...

Nieubłagana potęga kresu szarpie nią, wstrząsa, skurcz bólu na usta wydziera, i w szamocącej się bieli osuwa się martwe ciało kobiety, która szła w promienie słońca, po nowe życie, pełne dla niej pragnień i czaru...

W dziewczynie, stojącej u okna, serce łopoce, jak ptak spłoszony.

Śledzi ciągle ćmę, która znów jakby chciała wrócić do świerka, jęła z trudem przedzierać się przez deszcz.

Wtem zabłąkany kryształ gradu uderzył ją w skrzydło.

Zwisła niem, i słabo już walcząc z cichnącym wiatrem, spada srebrnymi kręgi, wolno zrazu, potem coraz to prędzej, po ciemnem tle burzy...

. . . .

Z czerni uchodzących chmur schodzi nizko tęcza, kładzie się po drzewach parku, przesyca wilgotne powietrze.

Z za gór rozbłysło słońce.

I w jego promieniu, w świeżości rozpylonych barw tęczowych, spada cicho na klomb rezedy duża, biała ćma...

Wstało dziewczę od okna, przez mokre trawy idzie do grządki, rozchyla rękoma kwiaty, szukając w nich ćmy.

Ale ukryła się tak, że jej nigdzie nie było.

. . . .

* * *

I znów wieczorem napływały ćmy w świetlisty krąg lampy, spotykały się z sobą. ścigały się, tańczyły jak płatki śniegowe w smudze księżyca...

Od ławki pod świerkiem wionął ku grzędzie kwiecia szary cień dziewczyny, snuł się pomiędzy kwiaty — stawał wśród traw — oglądał się — szukał czegoś — czekał...

. . . .

Ale nad klombem rezed nie było dużej, białej ćmy.

. . . . . .

CHYLIŁY SIĘ KU NIM MIRTY I RÓŻE...

Annikeris siedział przed jedną z bram greckich Teb, dokąd przyszedł z Aten niedawno i rozdawał dzieciom owoce. Cały rój ich obległ starca.

Czepiały mu się szat, rąk, tuliły się do niego, obejmowały go za szyję, przykładały jasne i ciemne główki do jego suchej, pomarszczonej twarzy.

»I mnie, ojcze, i mnie«, nie ustawało ani na chwilę, a on raz po raz zanurzał ręce we fałdach chlamidy i wydobywał z niej granaty, migdały, figi, orzechy, daktyle.

— I mnie, i mnie...

. . . .

Było pod wieczór i cienie murów kładły się po wzgórzach, porosłych czerwonem kwieciem gwoździków i żółtą euforbią.

Pomiędzy ich pęki snuły się już zwiastuny nocy, pierwsze ćmy wieczorne.

Z chyżością strzał fruwały z kwiatu na kwiat, niby małe wrzecionka skrzydlate.

Czasem któraś z nich zawisła dłużej u snopa goździków na nieruchomych, niewidzialnych zda się skrzydłach, choć one drgały tak szybko, jak eter drga nad ziemią w upalne dni do słońca.

Inne odskakiwały, spłoszone od łodyg euforbii, po których pełzły leniwie tu i owdzie duże, zielono-żółte gąsienice, z rogiem na główkach.

Ćmy uderzały o miękkie, elastyczne ich ciałka, by wraz odbić się o nie tak szybko, jak fryga, puszczona po stole, odbija się nagle o okruch chlebowy...

. . . .

Drogą od Teumessu wysunął się młodzieniec, jak bóg z zachodzącego słońca, co kładło czerwień ostatnią na śnieżny gościniec wapienny, na gaje oliwne, po skałach przydrożnych.

Szedł w białym chitonie i w sandałach z drzewa oliwnego, smukły jak cedr Pelionu, jasny i kształtny, jak ten, który zwyciężył w olimpijskich igrzyskach. Biły od niego spokój i siła, że aż dzieci, kiedy go ujrzały wśród siebie, stanęły zrazu kręgiem zdziwionym, niby żerujące wieczorem króliki, gdy się nagle chmury rozstąpią i padnie na nie słup miesięcznej poświaty.

Jakiś czas przyglądały mu się w podziwie, potem poczęły się zwolna rozchodzić, aż wreszcie rozleciały się z świergotem wróbli na wszystkie strony, a on został sam na pustem wzgórzu przed bramą.

Starzec przesłonił ręką oczy od blasku zorzy zachodniej i patrzał weń chwilę, wreszcie zawołał:

— Euemeros!...

— Tak, to ja, Annikerisie.

— I zawsześ z twym smutkiem?

Młodzieniec przeszedł tuż do starca i pochylił się ku niemu, jak młody dąb, kiedy się chyli nad starą, zgiętą, mchem porosłą wierzbą, i mówił:

— Weź mi go, jeśli możesz, Annikerisie.

Ale i ty, najlepszy z ludzi, i ty tego nie potrafisz.

Czyż można od kogoś jego cień odpędzić?

W gajach Mygdonii, po piaskach libijskich, nad zielone wody Indu, po onyksowych górach Arabii, na szczyt lesistej, dzikiej Ossy i kwiecistego muz kochanka, Helikonu, i śnieżnego Olimpu, gdzie bogi się gnieżdżą w obłokach, wszędzie włóczył się za mną.

Chciałem go w morzu utopić, ale jeszcze silniej wtenczas odżywał, jeszcze mocniej ciągnął mnie ku sobie, choćby własnym moim obrazem, co odbijał się w fali.

Spalić go chciałem.

W pustyni, kiedy słońce zdaje się topić żwiry na miedź, rozgrzewałem w mych ramionach chłodne, śniade ciała nubijskich dziewczyn, aż płonęły, jak południe na piaskach, aż się z żaru bielsze stawały.

Ale potem ból tylko w duszę przychodził i w ciało zmęczenie, i jakby głos jakiś mówił mi smutny, że wszystko jest złem, bo każdą rozkosz trzeba okupić cierpieniem, a więc i rozkosz zła, i cierpienie.

A kobieta? To nieodgadnione nigdy drugie ja mężczyzny...

To coś, co rozłączyło się z nim chyba przed wieki, odkwitło od niego, jak kwiat wytryska z lędźwi skały, jak wodne lilie kwitną z tafli jezior, jak Eos wschodzi z łona mórz.

I wzięło nam miękkość linii i myśli, i jakby świętość jakąś najdroższą, jakby Palladium nam z piersi zabrało, za którem się tęskni od dziecka, którego się szuka życie całe, a może jeszcze nikt go nie znalazł.

Coś, co ucieka przed nami, niby cień przed dziećmi, kiedy gonią go po piasku, i gnie się ku nam, i zwisa w ramiona, jak bluszcz obwisa po kształtach posągów.

To coś, czego nie można uchwycić, jak nikt nie schwycił błędnych ogni wieczorem na bagnach Pontyjskich, czego nie można być pewnym, jak łódź nie może falom Scylli zaufać, co zdala zdaje się czasem czyste, błękitne, jak wody Bosforu, a kiedy przyjrzeć się im bliżej, mętnieją, niby rzeki po deszczach, pełne pian i mułu.

Kobiety! Widziałem ich tyle...

W Pelli, po drodze Kassandra, całe ich łąki snuły się o mroku wieczornym, kiedy się gwiazdy kąpały w jeziorze pod zamkiem.

Szły, jak słodkie, senne wcielenie piękna, jakby boska Νοῦς Anaxagora rozkwitła w nich kwiatami ciał.

Choć kryły twarze w welonach, jaśniej od gwiazd świeciły ich oczy z pod osłon.

Gdym patrzał nieraz na korowód tych zwiewnych bóstw wśród kolumn świątyń, to zdało mi się, że płynie śpiew świętych lir pomiędzy pnie gaju, i wtedy przyszło mi na myśl, czy nie jest prawdą, co mówił Euklides, że wszystko jest dobrem na świecie.

I miałem chęć wyjąć serce z piersi i cisnąć im pod stopy z marmuru, i całować je, i pieścić, jak pieszczą je miękko zwoje chlen.

Duszę chciałem im oddać, im, niewolnicom...

Alem poznał potem, że pod śniegiem tych szat płonie wiecznym ogniem Afrodis, jak płomień, ukryty w trzewiach wulkanów, i że to ona usypia i budzi po gyneceach te piękne ciała, od których smutna Psyche ulata, jak motyl żałobny na czarnych skrzydłach.

I pomyśleć, że to Eros winien wszystkiemu, on, jasne dziecię ciemnego Chaosu, brat ziemi i Tartaru, ojciec wszystkiego, co żyje, władca bogów i ludzi, twórca złego.

On, ten wszechmocny, silniejszy nad wszystko.

Któż wyrwał procę Herkulesowi, jemu, który lwa rozdarł w puszczy Nemejskiej i lernejską Hydrę zdusił, i z lasów Erymantu żywego porwał odyńca, i Kerberosa, stróża Tartaru, uwięził?

Któż Heraklowi skórę lwią odebrał?

Pozbawił strzał Apollina i hełmu Aresa?

Kto śmiał trójząb wytrącić z rąk Pozejdona? I grom Zeusowi?!

Nawet Zeus go zabić nie mógł...

Kochało go wszystko.

Skryły go lasy w ciemnem łonie, wykarmiły piersi wilczyc.

A teraz on większy nad Zeusa, świętość Thespijska, bóg Erotidiów*).

I nie dość mu było, że zapłodnił świat miłością i ziemię skuł w jej złotą obręcz, że oddał się wszystkiemu.

On jeszcze wytęsknił z nieba bóstwo miłości wzajemnej, brata swego, Antera, i tęsknot tęsknotę Pothusa, i żądzę żądz Himerosa.

I Psyche nosił na wiewie Zefiru w gaj samotny i usypiał ją wśród róż, i rozkochał w sobie, a potem opuścił — za co? że śmiała mu spojrzeć w słoneczną twarz o boskich rysach, utopić w nich oczy, jak lśnienie zórz, gdy tonie w morzu...

. . . .

Oby mu zgasły na zawsze żagwie pochodni, któremi świeci nocom małżeńskim, oby poschły wszędzie róże, które mu kwiat dają na skronie...

. . . .

— Stój, Eumerze, nie mów tak o bogach!..

— Bogowie?! Zdaje się, że ich nigdy nie było.

I ty, Annikerysie, ojcze Przyjaźni, i miłości,

---

*) Uroczystość w Thespiae na cześć Erosa.

kapłan Empedokles, i przeczący złemu Euklides, i sprawiedliwy Sokrates, i Anaksagoras, który Duszę ludziom objawił, i wielu jeszcze innych, będziecie kiedyś bogami jasnymi, a może Protagoras, że w bóstwa nie wierzył, i czciciel rozkoszy, Arystypp, i inni, gdy wieki upłyną, staną się bóstwami złego?

A kto wie jeszcze, co jest prawdziwsze, dobro, czy zło?

Ja myślę, że może i ono.

— Euklides miał słuszność, młodzieńcze.

I ja czuję dziś u schyłku mych dni, że wszystko jest dobrem, wszystko świętem, i dzieje się dla tego, żeby było jeszcze lepiej.

A jeśli kto nie może sam przez się być szczęśliwym, niech żyje szczęściem drugich.

Lecz ty masz wszystko, żeby być szczęśliwym ze siebie. —

Twarz starca płonęła, jakby padał na nią blask holokaust, a Euemeros schylił nizko głowę, niby jesion, kiedy go burza rozszczepi, i coraz ciszej szeptał, jak wiatr szemrze w liściach osiki:

— Tyle razy mi to mówiłeś, a jednak tak nie jest: wszystko jest źle.

Wszędzie walka ślepa o byt, jedno życie chłonie drugie:

Pająk zjada muchę, sokół chwyta gołębia, lew pożera antylopy, krokodyle jedzą ludzi.

Powiedz im, niech tego nie czynią, czy cię który usłucha?

A tam za śnieżnym atlasem i ludzie są, którzy się zjadają nawzajem.

Taka jest przyroda, takim cały świat być musi.

Ale ja nie chcę do nich należeć, choć jestem ich dzieckiem, przeto zgody we mnie niema, ani ze światem, ani z samym sobą.

Gdziekolwiek pójdę, wszędzie źle mi będzie i nigdzie nie skryję się przed cieniem moim, przed sobą samym.

— Bo w tobie jest dwóch ludzi, Euemerze.

Jeden gorący o krwi południa, dziecię żaru, wnuk Kadmidów, drugi cichy i w obłok spowity, jak te kraje na północ od Tracyi, i Scytów, kędy ptactwo leci na wiosnę.

Twoja matka stamtąd była i duch twój leci tam często do pól białych, pokrytych zimnem pierzem.

Leci tam i bierze z nich chłód i to, co gołębie mają na piórach i w sercu.

Gdy wracasz stamtąd, to jakby cię otaczał jeszcze niewidzialny nimb chmurny i nawet nasze słońce greckie stopić go nie może...

Zamyślił się starzec, a wieczór już był i księżyc świecił mu na łysą czaszkę — spływał po białej brodzie na mądre, żylaste ręce.

Załamał je z chrzęstem, jakby myśl z nich chciał gwałtem wydobyć, i jak gdyby nagle posta-

nowił coś w sobie, mówił dalej, patrząc na miesiąc w przydrożnej kałuży:

— W jasny ranek świąteczny poczęła cię matka, Euemerosie, szczęście unosi się nad tobą, jak święty ptak nad kwiatem Nilu, lecz żeby je schwycić, musisz poznać tajemnicę swego smutku, a ona jest w Sfinxie.

Idź, poznawaj, odgaduj ją, ale nie dociekaj jej rozumem, bo uciecze przed tobą.

Sercem musisz ją odczuć i serce cię zbawi.—

* * *

Odtąd chodził często młodzieniec ku wzgórzom Teumessu, do gaju świętego, gdzie był posąg Sfinxa, błądził tam o różnych porach dnia i nocy.

I nieraz patrzał o białem południu na mchy zielone i żółte, przylgłe do grzbietu kamienia, znał każdą ich plamę w świetle księżyca.

Upodobał sobie tę cichą zagadkę, milczącą wśród cedrów, palm i róż.

Myśl jego błądziła po rysach, któremi głaz popękał, zdawała się iść niemi w głąb jakąś ciemną, jak gdyby płynęła z biegiem tajemnej, niezgłębionej rzeki.

Może szła z gajów Hellady przez morze błękitne w Nilową Deltę, a potem w górę rzeki, w ocean słońca, co się odbijał w zieleni wód, — pomiędzy lotosy i nenufary, wśród skwitłych różowem kwieciem krzów oleandru, do źródeł nieznanych nikomu, kędy jeszcze człowiek nie dotarł.

Przed jej oczyma snuły się ogrody bez końca i białe miasta w pożarze słonecznym, i pałace faraonów, i ludy żółte o cerze waz bronzowych, i czarne, jak drzewo hebanu.

I księżycowe noce widziała na piaskach pustyń, białe i ciche jak śmierć, a ciepłe jak oddech życia.

Czasami jej się zdawało, że duchy Ramzesów wychodzą nocą z odwiecznych grobów kamiennych, że widzi korowód królów przy świetle księżyca, w złocistych rydwanach, z berłami w ręku, w koronach na głowie.

Aż raz wieczorem, kiedy Selene cały blask swój lała na ziemię, na gaje, na twarz Sfinxową myślał Euemeros, jak dziwne jest to martwe życie posągu.

Tak żyć chyba muszą lody i śniegi, o których słyszał, że są na dalekiej północy.

Przypomniał sobie rodziców Sfinxa, ojca jego Tyfona, skwarny wiatr od pustyni Etyopii i Nubii, i węża — matkę Echidnę.

Widział, jak zrywa się wicher, gdzie słońca kolebka, jak kłębi piaski spalone, jak nieugaszonym, wszystko palącym, rozpętanym, nieokiełzanym żarem pędzi stamtąd na północ, a Eros mu siedzi na skrzydłach, jak sokół siada na karki łabędziom.

Nie mogło go morze ochłodzić, nie wstrzymały góry Krety, ni strome brzegi Naxos, ani marmurowe skały Chios, ni lasy Lesbijskich cyprysów:

Pędzi na północ.

Aż oto uderza o zimne, spiżowe ciało węża, co łukiem miedzianym oplótł podnóże Taurydzkiego wzgórza, i chłodził sobą rozpalone kamienie.

Przypadł do niego, chciał oderwać go od skały, zrzucić z niej w nurty Pyramu.

Wyprężył się kobieta-wąż, roziskrzył żywą tęczą w słońcu, przegiął w tył głowę na lśniącej, śmigłej szyi, objął szał wichrowy w miękkie, chłodne pierścienie i jął się z nim zmagać.

A wicher szalał i huczał i kipiał.

Jak orzeł na pardwy ciskał się na góry i obrywał je z cechów odwiecznych niby z piór i niósł je gdzieś w obłoki...

Lecz zwolna chłódł ogień pustynny od splotów wężowych, a one poczęły rozgrzewać się od niego i świecić coraz silniej, i mięknąć, i wiotczeć, i jakby pieścić się z burzą, jakby się jej oddawać.

W płomienny wzrok wichru patrzyły oczy o lśnieniu jaspisu, o zmiennej barwie i głębi mórz.

Wskroś przenikające ich zimne światło szło w pierś Orkanu, gasiło żar jej, ślizgało mu się po lędźwiach gorących, po skrzydłach ognistych...

Milkł wiatr i łagodniał, i poddawał się wężowi o twarzy kobiecej...

I stała się cisza, jaka bywa na morzu przed burzą, albo w noc wielkich Mysteryów w Eleusis, jaka musiała być wtenczas, nim świat się narodził...

. . . .

Tyfon spłodził Sphinxa z Echidny.

. . . .

Przypomniał sobie ten myt Euemeros i żal mu się zrobiło kamienia, żal myśli, i czucia, i ognia w głaz zaklętych.

Tak sam tu stoi, deszcz mu ciało wyjada, słońce je wyżera po przez cyprysy i mirty, księżyc martwem, zimnem światłem zagląda mu w szczeliny, w które on ukrył ból swej duszy.

Żal mu się głazu zrobiło, podobnym jemu się poczuł.

Ojciec jego miał w sobie krew południa, o żarze wichrów pustyni, krew orłów skalnych Atlasu, gorącą i wolną, jak wiatr Nubijski!

Matka była dzieckiem pól śniegowych.

Ogień w nim walczył i lód, płomień lody zapalał, a one go gasiły.

Żal mu się zrobiło Sfinxa, bo czuł w nim tę samą, nigdy nie odgadnioną zagadkę, jaką nosił w sobie, a wiedział, że z niej wykwita smutek życia, jak pustynny cichy kwiat ze skalnej rozpadliny.

I uczuł, że niema tego na ziemi, coby mogło rozświecić tajemnicę tych rysów kobiecych w kamień zaklętych, jak niema siły, która by mogła odgadnąć, zgłębić, przejrzeć aż do dna tajnie życia, bo w nich nieskończoność tkwi nieogarnięta.

Bo życie, zrodzone z Kronosa i nocy, ciemne jest, jak noc, a może i wieczne, jak Czas.

I zdało mu się w tej chwili, że odczuł głaz, że sercem go zrozumiał, — i pokochał go w jego zadumie samotnej.

— Tyś taki jak ja, szeptał do Sfinxa, zagadką jesteś dla świata, dla siebie samego...

Wyciągnął ramiona, podobne białym marmurom o sinych żyłach, rozszerzył pierś rzeźbioną i przylgnął nią do głazu chłodnego, jakby wlać weń chciał młode ciepło swego życia.

Całe giętkie ciało młodzieńca śpiewało melodyą swych linii jakiś potężny pean życiowy, grało go na cudnej swej formindze, jak wicher gra po zrębach skał, — na konchach muszli.

Wtulone w kamienne podnóże głazu, przywarło do niego, niby barki Atlasu do posad świata, kiedy je trzymał w objęciach.

Cisza była taka, że Euemeros słyszał w niej rytm swego serca, jak dźwiękiem szedł po głazie posągu...

. . . .

* * *

I znów zachodzące słońce pada skośnie na pochylone wiekiem plecy Annikerisa, na jego twarz spokojną, o liniach czystych, szlachetnych, żłobiących jej cerę woskową w głębokie brózdy i zmarszczki, jakby je dłóto Czasu wyryło w zżółkłej kości słoniowej.

Idzie starzec wzgórzem zamiejskiem przez łąki goździków, a obok niego wionie zda się po

ziołach postać dziewicza, lekka jak mgły wieczorne, smukła i wiotka jak kiść kwiatowa, kiedy się w wietrze kołysze.

Idą z sobą, jakby zima szła z wiosną, i wiodła ją w pola, by oddać jej królestwo ziemi.

Tylko duże, niebieskie oczy dziewczyny za smutne na wiosnę, — patrzą przed siebie, jakby w nieznane jakieś głębie tajemne, toną w nich, oderwane od tego, co się dzieje na ziemi.

— Wybacz, ojcze, mówi Iris do mędrca cicho, jak kiedy strumyk żali się szmerem, — wybacz, bo nam się i skarżyć nie wolno.

O, stokroć lepiej wam, mężom.

Od dzieci uczą was myśleć, chowają do czynu życia, do jego szczęścia, gdy my... my woli swej nie mamy nigdy.

Dziewica musi poślubić na całe życie tego, kogo jej przeznaczą, choćby jej nie wiem jak był niemiły.

Rozumiesz, ojcze, co to znaczy? Czujesz to?

To takie straszne, Annikerisie, tak boli, tak gnie...

Weź lilię, złam jej łodygę i wsadź ją w ziemię, to zwiędnie, zginie, a nam się i skarżyć nie wolno...

Musimy żyć dla drugich, dla was...

Kobieta całe życie jest cieniem męża, kwiatem, który się uprawia w ogrodzie po to, żeby kwitł, pachł i rodził owoce...

Niewolnicą jest..

. . . .

Musiało jej duszę złe widmo przesłonić przeczuciem czegoś, co krążyło koło niej, co ją może czekało, bo nagle skryła oczy w dłonie, zachwiała się jak narcyz od burzy, przypadła do kolan starca, jak drżąca konwalia przypada do mchu, — objęła je ramieniem:

— O ty dobry, najlepszy, co wszystko wiesz i czujesz, tobie jednemu oddać mogę cień mych myśli, weź mi go, zabierz...

I błagała mędrca, żeby jej wziął smutek, żeby jej wziął ból.

A w starcu żal rozkwitał, że Piękno ziemi jest takie biedne.

Uniósł lekko Iris niby dziecię, objął ją wzrokiem Dobrocią promiennym i mówił, jakby wiatr muskał skrwawione pierze białych gołębic:

— Nie mnie proś o to, dziecko, ale wszechmiłości boga, Erosa jasnego.

Idź z myślą o nim po świetle miesiąca w czar nocy, w ogrody róż...

Eros kocha róże nad wszystkie kwiaty i błądzi często, kędy w mgłach ich woni zasypia cicho życie.

Idź, módl się do niego, a może ci da, o co prosić go będziesz.

Tam idź, gdzie cię powiedzie władnąca nami

5*

Moc, a przed tobą jasną smugą pójdzie *Przeznaczenie* twoje...

. . . .

. . . .

Słońce dawno już zaszło i księżyc złocił drogę, którą szła Iris, spowita w Smutek i Ból, a za nią włóczył się jej cień.

Jej wiotka postać, niby z mgieł utkana, płynęła w jaśń po świetle Seleny, a ono ją wiodło jakby gdzieś w inny świat — oddalała się zwolna, nikła, rozwiewała się w srebrze nocy.

Cicho było, — przy lampie księżyca przędła Klotho nić życia Irydy.

* * *

Zaszemrał gaj mirtowy, zadrżały gałązki palm i liście laurów.

Rozchyliły się ręce białe, jak srebrne gwiazdy wieczoru i ramiona z alabastru, i ciało kobiece, smukłe jak kwiat irysu, jak śmigła amfora Tyrrheńska.

Szła w śnieżnym welonie, niby duch wieczoru wiała z tęsknot jego cieniów.

Płynęła cicho, jak wieczór płynie na mrok cyprysów, jak blada smuga gwiazdy polarnej pada na gaj święcony.

Wionęła miękko jak wiew od morza, gdy pieści algi przybrzeżne.

Szła tam, gdzie kwitły róże ciemne jak wnętrza gęstwin oliwnych, i białe, i żółte, i purpurowe.

Wpłynęła w gąszcz ich największą, jak mgła wieczorna płynie na lasy Teumessu.

Rozwarła śnieżne ramiona, nabrała w nie falę główek różanych, tuliła je do sióstr ich, do pączków swych piersi.

I brała tak woń od róż, a one chłonęły w siebie zapach jej ciała, o słodkiem tchnieniu irysu....

Grały cykady w gałęziach figowych, po liściach laurów, euforbii.

Ich głos do cytry podobny zdawał się śpiewać w tej chwili pieszczotę dziewicy z różami.

Zdawał się ślizgać po zgięciach jej ciała, wchodzić w jej ręce, w ramiona, w piersi, w rozchylone usta, we włosy, w oczy, w duszę, i iść z nich napowrót w noc ku jakiejś ogromnej, nieznanej, niedoścignionej tęsknocie, ku jakimś światom pełnym zaklętych czarów tajemnych.

Coś drżało w niej, jakiś dreszcz święty szedł po niej, jak gdyby bóstwo było gdzieś niedaleko.

Coś się w niej budziło, jak kwiaty się budzą, kiedy przy brzasku gwiazd Apollo szuka po lesie Artemidy.

Śpiewały cykady, pachły róże, woniało ciało dziewicze, modliła się w niem dusza kobieca.

Iris rozpięła ramiona jak białe skrzydła mewy i wypuściła z nich różaną falę, co chwiać się poczęła w księżycu i kołysać, i wracać do niej kwiatami.

Niektóre z nich kolcami wpiły się w jej chlenę, i nie chciały jej puścić od siebie.

Odpięła je łagodnie, a one żałowały jeszcze za nią i chyliły się w stronę, kędy odeszła...

Weszła w las kaktusów, o kwiatach barwy krwi, stulonych przez noc, chwianych lekko wiatrem od dalekiego morza, położyła na nich ręce białe.

A kwiaty myślały, że brzask już i że Eos zeszła do nich z nieba, i rozchyliły ku niej puste, bezwonne kielichy i chwytały w nie chciwie woń róż, która biła od niej...

Gdzieś po skałach, z pod kamieni rozległ się jednostajny, tęskny jęk jaszczurek i smutnem echem szedł z wiewem Notosu.

Szedł w mrok świetlisty, z oddechem ciepłym wieczoru, smętny, miarowy, jak skarga Ananki żałosna, jak prośba ziemi o łaskę i szczęście.

Szedł jak idą modły ofiarne po świętych samotniach, jak flet pastuszy idzie po splotach winnic.

Zadrgała gwiazda polarna, zaświeciła żywszem światłem, wątłą smugą padła na twarz Sfinxa kamienną.

Lecz ona jedna była martwa jak przedtem i nic jej zbudzić nie mogło.

W jej jamach ocznych czerniały ciemne plamy mchów i bił z nich taki smutek bezdenny, taka na wszystko cisza lodowa, jak owo grobów wieczyste milczenie, którego nic przerwać, żadna siła ożywić nie zdoła.

Tanatos wiała z posągu.

Zimna, nieprzebłagana, nieodmienna Tanatos.

Wszystko pachło, modliło się życiem, tylko ta jedna głowa samotna była głucha na wszystko.

Napróżno Euemeros chciał przelać w nią ciepło swego serca, napróżno ją chciała gwiazda rozjaśnić i noc woniała ofiarnie, napróżno.

Nieprzebrana moc Miłości wstawała z ziemi, z powietrza, kwitła z kwiatów, wchodziła w białe łono dziewicy, płynęła zeń na świat.

Zdawało się, że za chwilę rozstąpią się święte cedry gaju i wyjdą z pod kolumn ich boski Eros z pochodnią nad czołem i rozkochany w nim Anteros i Pothus, tęsknot tęsknica i zmienny jak morze Himeros, że wezmą się za ręce i we wian się splotą taneczny i zawiodą pieśń nad pieśni, jakiej jeszcze świat nie słyszał, za którą pójdzie wszystko co żyje: i człowiek, i zwierz, i kwiat...

. . . .

Zdawało się, że wszystko musi im się oddać, upaść im pod stopy.

Powietrze dyszało miłością....

. . . .

A wzrok dziewicy błądzi po twarzy Sfinxowej, pieści ją, jak promień słoneczny, gdy się zabłąka na urnę popielną.

I uczuła Iris w tej chwili, że nie jest samotną w swym smutku, zdało się jej, że ten głaz

zaklęty w śmierć czemś blizkiem jej jest — bratem jej bólu...

I przyszło na nią coś takiego, że czuła, iż może oddać siebie w ofierze, byle tę twarz ożywić.

Chce biedz ku niej, położyć na niej ręce, grzać ją ciepłem piersi.

Podała się naprzód, jak kapłanki Izydy chylą się przed falą, w której się księżyc przegląda, jak Ifigenia w Taurydzie gięła się pod nóż kapłana.

Wstrzymały ją kolce kaktusów, nie chciały puścić jej welonu.

A ona rzuca go na kwiecie jak promień słońca, gdy ciśnie obłok na lasy i bieży, gdzie blask Seleny pada na Sfinxa:

Masz mnie, masz, weź sobie me życie młode, mą wiosnę dziewiczą, tylko ożyj raz, ożyj...

. . . .

I biegnie ku niemu jak kiedy wiatr niesie białe kwiecie mirtu na grób samotny, jak kiedy śnieżny gołąb pada na ołtarz ofiarny...

. . . .

Euemeros puścił szary kamień Sfinxa i chwycił ją w ramiona...

. . . .

Chyliły się ku nim mirty i róże...

. . . .

. . . .

DO MAMY.

Na! kwiatów, tam z nad rzeczki...

Takiś tu sam w pajęczynach, a tam wiosna na polu, biedny Jezusku... —

Drogi, drogi Chryste!

Nie smuć się tak ciągle, nie cierp już więcej...

Chcesz? Wezmę Cię stąd nad ruczaj za wsią, obmyję krew z Twojej twarzy, popieszczę Cię, przytulę.

Zobaczysz wieś naszą i chatę, i słonko, bo tu go nigdy nie widzisz.

Potem pokażę Ci Marysię i Zosię i Stasia i tego Jasia, co ma białe gołębie, i damy Ci wszyscy nasze placki, bo Ty głodny być musisz, prawda, żeś głodny?

. . . .

Drogi, jabym Cię tam chciał zanieść do mamy.

Ona taka dobra — wykąpie Cię, przygarnie, opatrzy Ci rany, nakarmi. —

Na! rączkę, chodź do mamy, chodź...

* * *

A Ty tu co robisz urwisie? krzyknął mu nagle

nad główką kościelny, Boga chcesz ściągnąć ze ściany?

A drabie jeden — masz — masz — masz!...

Dziecku twarz zbladła jak lilia ścięta gradem — opuściło rączki:

Ja Go do mamy chciałem tylko wziąść — do mamy...

POWRÓT.

Ściernie moje smutne, oblane księżycem, jakbym tulić was chciał — tulić do piersi. —

Dzieckiem rzuciłem was dla miasta, z którego każde zło, każdy grzech...

Jakżem zazdrościł przelotnemu ptactwu, gdym je słyszał ciągnące do was nad dachy miejskie.

Miasto, miasto, twoje pałace, bogactwa twoje, to jak złoto nierządnic. —

Nawet białość gołębi twych, zwalana kurzem, skalana nędzą, nędzą ducha...

— Lot, gdy rzucał Sodomę, nie miał żalu za tobą — kochał wieś.

* * *

I ja Cię kocham, wsi moja rodzinna!

Kiedym w dusznej, szkolnej kaplicy klęczał w ciżbie druhów, tom myślał zawsze, żeśmy jak biedne kwiaty, które z bujnych łąk zielonych przesadził ktoś na cmentarz — a gdy na dzwonek mszalny łan dzieci pochylił się ku ziemi, niby zboże od wiatru, to taki dreszcz tęsknoty szedł mi po ciele, to taki skurcz bolesny chwytał mą duszę, że łkałem za tobą, jak dziecko za matką, i zapo-

minałem wtenczas, że modlę się w mieście, a zdało mi się, iż krzyżem leżę na młodej murawie przed cerkwią naszą...

A kiedym oczy podniósł na Boga w ołtarzu, tom szukał w Nim zawsze naszego Chrystusa biednego, co pada pod krzyżem, i pod płaszcz Jego chciałbym się był tulić, tulić jak dziecko do matki...

A gdy już w Zielone święta szuwarem zasłano podłogę, i zapach łąk przepełnił mi serce, to czułem, że bije mi w piersi, jak ptak więziony na wiosnę — i łkałem, łkałem, łkałem. . . . . .

* * *

Tyle lat, tyle lat...

Może byłby już miał dzieci...

Boże! Jego dzieci... Całowałabym, pieściła, tuliła... Boże, Boże...

Świadectwa jego pożółkły już jak liście jesienne... Tak się niemi cieszyłam, płakałam nad każdem z radości... Celujący — celujący — wszystkie takie...

Co tu dni słonecznych zmarnowanych w dusznej izbie, co tu nocy nieprzespanych, co tu pracy, ile sił — ile sił...

A dobry był jak anioł, a chciał być mem szczęściem, a chciał być mą dumą...

Myślałam: niech będzie panem — niech będzie szczęśliwy, niech nie zazna pracy ciężkiej, jak jego rodzice. — — — — — — — — — — — —

A on — zrazu jak róża kwitł, zdawało się samo zdrowie — aż potem, z nauki, z książek, z tęsknicy sechł i sechł niby polny kwiat w doniczce...

Potem nie było już rady. — — —

Przywiozłam go — już było za późno. — —

Kiedy wieś naszą zobaczył, to miał oczy tak smutne, jak chabry ostatnie w jesieni — jak zachód kiedy strugi zapali po łąkach. — — — —

Kwitły sady, a on taki biały był jak one, i plamy różowe miał na licu, jak kwiecie jabłoni...

* * *

Aż kiedy w jesień nagie chrósty po gajach siniały tęsknotą za wiosną, za słońcem, niby ciche wspomnienie kwietniowego święta fijołków, — kiedy wiatr miótł zwiędłem liściem, jak teraz myślą matczyną miecie po słocie, gdy w ciemnej gęstwie świerków konały ostatnie róże zórz, i księżyc martwym smutkiem gromnic złocił letarg ziemi, widzieli go jak szedł na rżysko, i mówił coś do miesiąca, i ręce ku niemu wyciągał, jakby go prosił o co, jakby się modlił do niego. — — — — —

Potem chorą piersią płonącą przypadł do zimnych szronów ścierni, cisnął, tulił się do niej jakby ją za coś przepraszał, jakby ją całował...

— — — — — — — — — — — — — — —

Potem, potem w mgłach i wichrze płakały dzwony: celujący — celujący — celujący. . . .

NIE SWOJA ŚMIERĆ.

Wy ze wsi Panie?

Ze wsi... Dlaczego pytacie?

Tak jakoś zawiało od was, zapachło wsią...

Poznałem wam z twarzy, żeście ze wsi, ci ludzie z miasta nie mają tak dobrych oczu...

Oni tylko patrzą, czy się dyszy jeszcze — patrzą kiedy można będzie człowieka pokrajać, zobaczyć to, co Pan Bóg zamknął przed nimi, co schował w piersi chłopskiej. . . . .

Jak tam teraz ładnie u nas, prawda panie jak ładnie?

Po miedzach, po płotach kraśnieją kaliny, całe sady tarnin niebieszczą się po jarach.

A łąki — już pewno drugi raz skoszone...

Suszy się siano — grabią je — odwracają — składają w kopy — pełno kóp na łące.

Tak pachnie — wy wiecie panie jak to pachnie.

. . . .

Tak jak teraz oto pod wieczór...

Tam w dole nad rzeczką.

Zachodzi słonko — kładzie się gdzieś w lasy — het daleko — w sine bory za wsią. —

A jakie tam żyta być muszą — powschodziły już pewno, może już i zielone — a ten rok patrzy na żyto, bo grzybów dużo, widzę przez okno jak je baby noszą do miasta.

I na pszenicę będzie dobrze, bo ta gwiazda duża tak jasno świeci co wieczór, a to pszeniczna gwiazda, panie, ta wieczorna...

Tamtego roku bywała jakaś smutna, to i pszenicy nie było...

. . . .

Od wiosny już tu jestem, czeremchy kwitły, gdy mnie tu przywieźli. —

Potem gdzieś tam po wsi były bzy — a tu tylkom raz się ich dotknął, co siostra przyniosła parę gałązek tej pani z drugiej sali.

I jaskrym też parę razy tu widział, te nasze żółte, łąkowe, siostry w nie stroiły matkę Bożą w maju. —

Raz mi prawda zapachła lipa, bo mi się lżej zrobiło, i zwlokłem się tam do tych schodów, jak się idzie na ogród, i wtenczas kwitła lipa, jedna jedyna na całe podwórze, może i na miasto całe...

Ażem osłabł, tak mi się słodko zrobiło. —

Hej Boże, tam u nas po wsi pełno lip po sadach, a jak się rozkwitną, to nie wracać już do chaty, tylko dychać, i dychać...

Hej tam u nas... i umierać inaczej niż tu...

Do tych pól, do lasów, do chmur, prędzej dusza się spieszy...

A tu nijak jakoś...

Choć to i siostry są i księża, a umierać nijak...

Strasznie tu Panie umierać...

Albo to choć pogrzebią po chrześcijańsku...

Pokrają wprzód, popsują, nazbytkują się nad tem ciałem, nad temi rękami, co im tyle winne, że robiły na nich na chleb, to zamiast je złożyć na piersiach i dać im krzyż, połamią tylko, potną, pokaleczą — a potem do dołu, jak psa...

Bez trumny, bez modlitwy, bez księdza, bez jednej duszy życzliwej...

Hej tam u nas, choć dzwony zapłaczą po ścierniach, choć ludzie odmówią pacierze — choć się brzoza pochyli nad grobem. . . . .

. . . .

Żeby się tak dowlec jeszcze do wsi... Choć raz spojrzeć, zdaleka choć... i umrzeć, choćby tam w sadzie pod temi gruszami, gdzie te śliwy niebieskie, i wieś całą stamtąd widać, i wierzby i rzeczkę i łąki i cerkiew i lasy...

»Cóż tam u was?« przerwał mu profesor, który właśnie wszedł na salę chorych, a ciszej dodał do asystenta: »Moribundus est« »proszę zawiadomić mnie o sekcyi«.

ZA TATEM...

— Ta tato, ta zaczekaj, ta stij! — krzyczał mały, trzyletni Iwanio za głuchym swoim ojcem Wasylem, który właśnie wchodził w obwisły śniegiem stary bór sosnowy.

Wasyl był leśnym we Władypolu koło Bełza i codziennie las obchodził dokoła.

Dziś śnieg mu skrzypiał pod butami, bo mróz brał pod wieczór, skrzył się złotemi światłami na fijoletowo-różowych śladach, wyślizganych przez sanie.

Ślady te biegły w ciemną głuszę boru, jakby jakiś tajemniczy szlak, po którym przemknęła chyżo i cicho, przeleciała nieuchwytną złudą nieścigniona nigdy Dola — zostawiając po sobie tylko pełne tęsknoty i smutku sine szlaki wyślizganych dróg.

Śnieg skrzypiał pod butami Wasyla, dziecko za nim krzyczało, cicho zrazu, potem coraz głośniej, ale on nie słyszał nic — był głuchy.

Idzie w las ciężkim, powolnym krokiem ruskiego chłopa, który się nie śpieszy, bo wie, że nie dogoni nigdy, nie przegoni Przeznaczenia — i wie, że może tylko iść za niem, dokąd ono go powie-

dzie, więc nie ma się poco śpieszyć, idzie, a w skupionem pochyleniu jego, jakby jakimś nieodmiennym wyrokiem przygarbionych, jakimś niewidomym ciężarem przytłoczonych pleców, czai się to, co rozprowadza ludzi po nieskończonych drogach życia, co każe im błądzić po jego rozstajach, a wiedzie tam, dokąd przeczuwa się może już od dziecka, ale o czem nigdy się nie wie na pewno, gdzie i kiedy to będzie...

. . . .

— Tato, taato! stij, stij, taato! — szło skargą dziecięcą po lesie — czepiało się sęków sosnowych, pośnieżonych kiści szpilek — biegło bosemi nóżkami po ciemno sinych szlakach drogi leśnej.

Iwanio wybiegł za ojcem w koszulinie i boso, z wiankiem lnianych włosów na zamurzanej buzi, z niepokojem zrazu, potem trwogą w ciemnych dużych oczach, z lękiem, jaki jest w nocnej głuszy puszczy.

Chłop szedł pomału, więc dziecko, nie tracąc go z oczu długo — biegło za nim, ale nie mogło go przecież dogonić drobnemi, zmarzłemi nóżkami.

Iwanio wybiegł za ojcem, bo Maruszka, sierota kilkunastoletnia, wzięta po śmierci żony przez Wasyla do posługi, poszła do sąsiada po kądziel, a chłop, wychodząc z podwórza, nie spostrzegł tego i myślał, że zostawia ją z dzieckiem w chacie.

Bał się sam zostać Iwanio instynktem dzieci, szukających zawsze tego, do kogoby się choć wzro-

kiem, choć myślą, choćby przez długość izby mogły przytulić, bał się i wybiegł za ojcem.

A ten go odchodził coraz dalej, dalej. Dziecku twarz siniała, trzęsło się od mrozu.

Mrok padał i gęstniał, stawało się prawie całkiem ciemno.

Pnie drzew, krzaki jęły przybierać dziwne kształty olbrzymów — widm. Robiło się strasznie.

Dziecko biegnie coraz prędzej, coraz rozpaczniej.

Co będzie z niem, jak nie dogoni ojca?

Co ono tu pocznie samo w lesie?

— Jak wróci do chaty? Nie wróci, bo minęło już tyle rozstai, tak pokluczyło w pościgu za ojcem, że nie pamięta już tej drogi. Nie wróci samo, nie...

Raz na zakręcie zdawało mu się, że je wreszcie dojrzał ojciec, że może usłyszał jego rozpacz, bo jakby stanął, jakby się odwrócił w jego stronę — jakby chciał wracać ku niemu.

Nagle rozwiała się trwoga Iwania.

Na zakręcie rósł cały las, cały borek maleńkich drzewek.

Dziecko rozjaśniło się jak słońce.

A ot takie drzewka, jak on małe, rączkami można zbierać z nich śnieg.

Może dla niego wyrosły i na niego czekały...

Błądzi wśród nich, garnie się do nich, jak do zabawek, rozstawionych na śnieżnym obrusie.

Jasno tu od zorzy — niestraszno. Gdzieś zapiszczały małe ptaszki, takie małe jak wróble, może jeszcze mniejsze.

Dziecko stanęło i myśli.

— Gdzie one piszczą? Żeby je zobaczyć...

Podnosi głowę, żeby je dojrzeć i ogarnia je nagle lęk przestraszny.

Wzrok jego pada na wielki dokoła bór, który czarnym wałem okolił drobny borek.

Wycięte linie rozstai jasne jeszcze, ale już po bokach ciemnia nieprzebyta.

Im szersza droga, tem Iwaniowi straszniejsza.

Chciałby się wtulić w jakąś ścianę, niby w chatę.

W oddali wzrok dziecka wyławia niknącą, czarną postać.

To on! tato! Tam na zakręcie... Może się obejrzy...

Tato jakby stanął, jakby odwrócił się w jego stronę...

Iwanio zaczyna całą siłą wydostawać się ku niemu, ale ojciec znikł mu teraz zupełnie i już go więcej nie było widać.

— Jaki on niedobry! — przeszło dziecku przez główkę — jaki niedobry! Widział mnie, może i słyszał, choć zwykle nie słyszy nic, jak się mówi do niego, a nawet czasem, jak głośno mu w ucho krzyczeli Maruszka, albo pan leśniczy, to także nie zawsze słyszał.

Ale przecież dostrzegł Iwania, bo on wyraźnie widział, jak się oglądał, namyślał, jak chciał się już wrócić i nie wrócił.

A może go i nie widział?

I na płacz mu się zebrało na myśl, że ojciec umyślnie go porzucił, i na jeszcze większy płacz na myśl, że on go może niesłusznie o to posądza.

Całe jego ciałko, zmarzłe już prawie, trzęsło się od łkania, jak w noc jesienną drży na cmentarzu ostatni liść osiki, i łzy duże, gorące, cały potop łez, spływał i marzł już nie po sinej, ale po białej jak marmur twarzyczce.

— Do ojca, do niego! — tłukło mu się rozpaczą w maleńkiej piersi — byle za las, to już go prędzej w polu zobaczy.

— Przez las, przez drzewa, przez krzaki! — krzyczy w dziecku, a ono biegnie, wpada do kałuż, pokrytych cienkim, łamiącym się lodem, zrywa się oszalałe z trwogi i zimna, chrzęszczące za każdem poruszeniem koszulką, do której przymarzła lodowa powłoka, kaleczy nóżki, drze sobie rączki, o ciernie krwawi twarz, rozciera po niej krew, miesza ją ze łzami. Wreszcie odrętwiałe już nóżki poczynają mu ciężyć ołowiem, nie czuje ich prawie, nie biegnie, idzie ledwie, coraz wolniej — wolniej. . . . .

Mróz cisnął silniej pod noc i teraz już tylko jedna myśl oprzędła dziecko, grzała je, otulała resztę jego ciepła i życia — myśl, gdzieby się

schować przed mrozem, gdzieby uciec, skryć się przed nim...

Kilka razy próbowało wtulić się w suche trawy, w kępy ożyn, w gęste krzaki sosnowe.

Napróżno — śnieg — wszędzie śnieg — wszędzie zimno lodowe.

Tylko nad lasem, nad wierzchołkiem drzew, co stały, jakby oczekując na objawienie jakiejś wielkiej tajemnicy, lub skamieniały w rozpacznej za czemś tęsknocie, roziskrzył się ciemny szafir tak ogromnie, że zdawało się bieleć aż do bolu, jak żelazo bieleje od ognia.

Drzewa modliły się gwiazdom w nieruchomości zaklętej.

Był to wielki, święty majestat rozhoworów utajonych sił, godzina rozdźwięczenia się milczeniem cudów, dyszących Pięknem i nieznaną Potęgą.

Drzewa modliły się gwiazdom.

Gwiazdy modliły się drzewom.

. . . .

— Tato! tato! — szło cicho już bardzo gdzieś z cieniów gęstw i marło niedaleko w powietrzu.

— Tato! tato! — szeptały białe już zupełnie usta, kiedy dziecko przyszło znów nad rozstaj, najrozpaczniejszy ze wszystkich, bo aż cztery drogi rozchodziły się od niego.

— Tato! — słyszał już tylko słup na rozstaju i śnieg na drodze.

A potem już nic...

Tylko wokoło słupa wlokły się jeszcze zmarzłe już prawie na kość maleńkie, bose nóżki, dreptały obłędnem kołem tam i napowrót, oddalały się od słupa, to znów wracały do niego.

Ten słup wydał się dziecięciu czemś żywem prawie, czemś, do czego można było mówić, do czego można się było tulić, co można było objąć i prosić o litość.

Cisza — biała cisza śniegowa.

Tylko co jakiś czas w słabem świetle gwiazd zsunie się z gałęzi sosnowej długim jakby w prześcieradło odzianym upiorem sypka smuga śniegu — tylko drzewo gdzieś stęknie, pękając od mrozu.

Nagle z tej ciszy śmiertelnej wyłowiło ucho dziecka niedaleki szelest w gąszczy na prawo od słupa.

— Może to on? — przechodzi mu przez główkę tak cichym błyskiem, jak lśnienie płatka śnieżnego od mrozu i gwiazd.

— Może to tata?

Ostatnim wysiłkiem martwych już prawie nóżek i rączyn wlecze się w miejsce, zkąd wyszedł szelest.

Nagle zwątpienie i strach — ogromny lęk śmierci innej, niż z mrozu, śmierci od zwierza.

— A może to nie tato? Może co innego — prześlizgnęło mu się po piersiach zimnym wężem, zimniejszym od mrozu.

A gdyby... wilk?

Przypomniał sobie Iwanio bajki o wilkach i zdjęła go trwoga szalona przed Nieznanem, mimowolna trwoga w ciemności, nieuświadomiona nawet, którą się ma odziedziczoną we krwi, tak samo, jak ją mają konie przed wilkami, choć nigdy ich nie widziały.

Ale nie było już wyboru. Poza nim śmierć od mrozu była pewna, chwytało go już w swoje ręce z lodu, a tamto nieznane wabiło go jeszcze niepewnością.

— A może to on? — przeszło mu spadającą gwiazdą, przez myśl gasnącą.

— Tato! — szepcą już tylko białe jak opłatek wigilijny wargi dziecięcia.

— Tato — wyciągają się po raz ostatni rączęta w stronę szmeru.

Wtem skok i coś dużego, szarego mignęło w krzakach.

Była to sarna, spłoszona przez dziecko. Umykała w głąb lasu.

Już jej nie widzi Iwanio, nie słyszy jej kroków.

Dopadł ostatnim wysiłkiem do miejsca, na którem sarna leżała przed chwilą.

Było ono trochę cieplejsze od innych, śnieg na niem wytajał od ciepła zwierzęcia, miękkość trawy i mchu ciągnęły ku sobie. Dziecko przywarło do mchu, wtuliło się prawie zupełnie w suchą trawę.

I zdaje mu się teraz, że jest w chałupie, że

ojciec wraca z lasu i bierze go na ręce, zawija w kożuch i kładzie za piec...

Trzeszczy ogień, Maruszka krząta się koło wieczerzy, ojciec fajkę zapala i kładzie się na tapczan...

W izbie ciemno — tylko po ścianach bielonych, w szybach okienka błądzą płomyki, strzelające z pieca, liżą strzelbę w rogu izby, twarz ojca na tapczanie, garnek z ziemniakami, które Maruszka wysypuje do miski i stawia na stole...

Dziecko rozwarło z trudem oczy — łzy, co mu na twarzy zamarzły — skleiły powieki.

Podniósł je jednak — rozrywając rzęsy.

Dokoła chłód — cicho — biało.

Tylko drzewa sterczą czernią tajemniczą.

Już się ich nie boi Iwanio — już mu są obce, dalekie — niestraszne.

Wraca w swój świat senny, ciągnący się przed nim szlakiem mar...

Podnosi się ojciec z tapczana... Maruszka idzie po sól do półki — wołają go do wieczerzy.

Nie rusza się, bo mu ciepło za piecem, więc ojciec po niego, bierze go na ręce — rozwija z kożucha...

Otworzył oczy Iwanio, ale się jeszcze nie rusza, ojciec bierze go na kolana, macza ziemniak w soli i kładzie mu w usta. On chce niemi poruszyć — nie może...

. . . .

Nie rusza się już — nie oddycha, nawet serce mu nie bije. Zwinął się w sobie, jak się zwija listek białej róży jesiennej, kiedy je zwarzy listopad, skurczył się, wtulił w chwasty prawie zupełnie.

Martwo-cichy był bór, tylko grozą snuło się po nim coś lęku pełnego.

. . . .

I nagle — niewiadomo skąd, czy z dalekich stron, czy z zaświatów mogilnych powiał szum przesilny, wstrząsł gałęziami drzew, opadł bryłami okiści, drżeniem zagwizdał w badylach i cierniach.

Zerwała się, jakby moc straszna, czegoś rozwianego — rozkołysanego — niepochwytnego.

Powiała jękiem, żałością, zawodzeniem nad stężałem nieruchomo, do ziemi wciśniętem ciałkiem dziecka.

Była to krótka chwila.

Cały bór załkał i ucichł nagle — wielkiem, żałobnem milczeniem...

. . . .

Nazajutrz przed świtem mróz zwolniał i dzień się robił posępny.

Rozstajem, ścieżkami, krzakami — idą ciemne postacie otulone w sukmany — brodzą w śniegu, pochylają się, próbują wyniosłości kijem, potykają się i znów idą dalej.

Idą w milczeniu, skupieni, zgarbieni w ple-

cach, ociężałym krokiem, nie śpiesząc się, jakby czas był ujrzeć to, po co szli.

Szli jak ci, których dusze od kolebki odbiega nadzieja i którzy od dzieci żyli bez niej, nie spodziewając się nigdy niczego dobrego, jakby przygotowani na gorsze i gorsze.

Ale to złe ich nie wzrusza, szli tylko coraz więcej obwiśli w ruchach, coraz smutniejsi, coraz dalsi miastom i życiu, coraz bliżsi sitowiu i rozłogom, pustkowiom oświetlonym pod wieczór krwawą łuną zapalającego się słońca, otulonym fioletowo burym płaszczem ciężkich, widnokręgowych chmur.

. . . .

Przodem idzie Wasyl — co chwila pochyla się ku ziemi, rozgarnia rękoma śnieg, szuka syna spokojnie, martwo, jak ten, który przeciw Doli nie walczy, i który zbiera tylko plon swojego Przeznaczenia.

Z szarością świtu, pni i mchów zlewają się te wolne postacie milczące.

Zdają się śnić jeszcze, ciągnąć smutne sny, w które się otulali na tapczanach chat.

Zbłąkanie się i prawdopodobna śmierć Wasylowego dziecka nie wstrząsa nimi wcale.

Owcy poszliby szukać z gorączką większą i niepokojem — z detyny takiej niewiadomo jeszcze, coby wyrosło...

Instynktem chłopa przedziwnie rozczytanego w tropach leśnych, a może instynktem ojca doj-

rzał małe ślady bosych stópek dokoła słupa na rozstaju.

Stopki te kołowały, plątały się, wbijały w śnieg, mdlały — skarżyły się całą grozą samotnego obłędu wśród tajemnicy lasu.

I Wasyl mimowoli wyciągnął rękę — do śladów ją przywarł... Na dnie duszy targnęło mu się coś, jakby pękła tam ledwo wyczuwalna nić.

Nie mówi nic, nie wzywa innych, idzie już prosto śladami dziecka i widzi wreszcie w dołku sarnim skurczone ciałko Iwania, wgrzebane w trawę, wtulone w ziemię z podkurczonemi nóżkami, z garścią szpilek sosnowych w pokrzywionych, zaciśniętych rączkach.

Wianek lnianych włosów złoci się na żółtej trawie, garnie się do niej, jakby ją prosić chciał, żeby go nie odpędzała od siebie — bo mróz — bo strach...

. . . .

Pochylił się Wasyl nad dzieckiem, spojrzał na nie cichą głębią smutnych oczu, jak staw marznący pod zimę patrzy na ostatnią niezabudkę zwarzoną od mrozu — i bez żadnej zmiany w twarzy wyjął trupa Iwania z bieli śniegowej ostrożnie, jakby z pościeli kołyski.

Potem owinął go połami sukmany i ciężkim krokiem zwrócił się ku swoim, którzy snuli się wolno pośród drzew lasu.

— A ot i detynal... — wyrzekł Wasyl cicho,

głosem podobnym do chrzęstu wielkopiątkowej grzechotki.

Potem silniej tylko otulił Iwania i zawrócił ku chacie.

Za nim wlókł się w milczeniu szereg tych, którzy coraz bliżsi są sitowiom, rozłogom — pustkowiom oświetlanym pod wieczór krwawą łuną zapadającego słońca, otulanym fijoletowo burym płaszczem ciężkich, widnokręgowych chmur.

. . . .

GAŁGANICA.

Sądny dzień dziś w karczmie.

Stary Josel, siwy Żyd, o twarzy patryarchy, nabiegłej purpurą, z długą po pas siwą brodą, chodzi wzburzony po izbie, trzęsie głową, wymachuje rękami.

— Ty! — mówi podniesionym głosem do wyrostka, stojącego przed oknem i patrzącego obojętnym wzrokiem w podwórze. — Ty, mój syn? Taki syn? Mój ojciec nieboszczyk byłby mnie zaraz zabił, gdybym mu przyniósł taką hańbę na jego siwy włos, na jego dom. Przez ciebie nawet sługi utrzymać nie można. Co ja teraz zrobię? Teraz się każda będzie bała... Jak na złość przed samemi świętami. Ja stary, a takiej hańby nigdym nie zrobił.

Lejbuś, stał ciągle zapatrzony w kury na dziedzińcu — zdawał się śledzić obojętnym na wszystko inne wzrokiem, jak duży kogut silnemi nogami rozgrzebywał kupkę śmieci, wreszcie zniecierpliwiony począł kręcić pejsy.

— Przez jedną goimkę nie warto tyle mówić! — zapiszczał podrażnionym głosem.

. . . .

— Co tobie do tego? Niech ona sobie będzie goimka, a ty nie potrzebował tego robić w mój dom! — trząsł się stary.

Przez brudne szybki karczemnego okna sypią mu się pod nogi promienie wiosennego słońca. Stopy Żyda depcą po nich z wściekłością, lecz one kwitną ciągle złotem i nieśmiałym jeszcze blaskiem.

. . . .

Tymczasem w kuchni Jewka blada, anemiczna, wiejska dziewczyna, odziana w białą płótniankę, skulona w kącie pod stołem, wiąże w zapaskę trochę odzieży i szmat.

Głowę i większą część twarzy owinęła żółtą chustką z czerwonym rąbkiem. Tylko oczy czarne podpuchłe od płaczu, świecące łzami, błyszczą lękiem i wstydem z pod chustki.

— No prędzej, ty, drabie! — krzyczy na nią stara, pomarszczona Żydówka — ty jeszcze tu?

Nogą obutą w pantofel kopnęła tłomoczek dziewczyny.

— Należy mi się jeszcze dwa reńskie! — dobywa się Jewce ze ściśniętej krtani.

— Dwa reńskie? ja ci dam dwa reńskie! ty szmato jedna — ty gałganico!. Z czem ty przyszła? To wszystko moje. Ty mi pewnie pokradła bieliznę...

Drzwi uchylone rozwarły się gwałtownie, przewracając koszyk z łupami ziemniaków.

Wypadł z nich kłąb chałatów i spódnic żydowskich, rozleciały się po kuchni nogi w brudnych, białych pończochach i pantoflach. Czarne i ryże głowy błyskają złośliwym ogniem oczu, z rękawów wyciągają się ramiona w stronę dziewczyny.

Niezrozumiały dla niej szwargot, zgiełk napełnił izbę.

Żydzi popychają się, tłoczą, otaczają ją coraz zwartszem kołem.

Gniewne ich głosy idą do niej czemś wrogiem, groźnem; wyciągnięte ręce szarpią jej odzież; to znów wracają w brudne, zatłuszczone rękawy.

— Di ganef! — wrzeszczy rudy Srul, starszy brat Lejbusia, blady hasyd, o ostrych, wyposzczonych rysach ascety, o plecach zgiętych w kabłąk od ślęczenia nad biblią — di ganef!.. — i splunął w stronę Jewki.

Za splunięciem posypały się kułaki.

Ona tuli do piersi zawiniątko, jakby się niem bronić chciała od razów. Nie myśli już o dwóch reńskich, które się jej należą.

Uciec, uciec stąd jak najprędzej... Ale i to trudno...

Czarna masa chałatów, błyski oczu, wykrzywione dziwną nienawiścią ręce, coraz bliżej, coraz ją silniej ściskają.

Znów drzwi się rozwarły, długa broda Josla zabielała nad ciemnym tłumem, jak płat śniegu na

dachu karczmy, silne jego ręce rozepchnęły w dwie strony skłębione mrowie dokoła dziewczyny, porwały ją za plecy i tak przeprowadzoną, śmiertelnie wylękłą, wyrzuciły na błoto wiejskiego gościńca.

* * *

Przez podwórze, do stajni, ze skopcem w ręku, idzie matka Jewki.

Idzie, przystaje, rękę do oczu podnosi.

Wicher siwy włos jej rozwiewa z pożółkłych skroni, dokoła śniadej, suchej, pooranej w zmarszczki twarzy.

Pracą sterana, życiem zbyt ciężkiem. Ot jak zwykle wdowa, komornica u krewnych.

Córkę oddać musiała w służbę do Żydów.

Widują się rzadko, ledwie parę razy do roku.

Przy robocie niema na to czasu.

Czasem jeno, gdy ze zmęczenia wieczorem usnąć nie może, o Jewce wtedy myśli. I gorycz ją dławi. Przewraca się na tapczanie.

Żydowska sługa.

Dziś o niej w nocy myślała... I teraz, gdy się tak przez dziedziniec ze skopcem wlecze, ma ją na myśli.

Nad wsią zachodzi słońce.

Topazowe niebo, a nad niem duża, ognista kula toczy się w jakąś głąb za czarny wał lasu.

Czerwone oczy komornicy patrzą w równinę, po której zielone pasma zbóż się ścielą.

Ku niej ścieżką pomiędzy dwoma łanami żyta idzie jakaś kobieta z tobołkiem na plecach.

Wdowę jakby coś tknęło.

Przysłoniła ręką oczy od blasku słonecznego — patrzy.

Poznała Jewkę.

— Ty tu?

Córka stoi przed nią. Z pod chusty płyną jej łzy — z twarzy ocieka pot.

Oczy podsiniałe, zmęczone, jak u brzemiennych.

— Wygnali — nie zapłacili — dwa reńskie mi winni... — bełkoce Jewka, twarz fartuchem ociera.

— Ta za co?

A Jewce broda się trzęsie, kąty ust drgają, łzy gradem płyną po długich, czarnych rzęsach, pierś się szlochem podnosi, opada i znów się wznosi, to jakby jej brakowało powietrza, chwyta je z wysiłkiem zmieszane ze łzami.

— Ty taka?!.. — spostrzega nagle stara.

Jakby w nią piorun trzasł. Upuściła skopiec z ręki — podnosi ją na córkę.

— Ruszaj! — chrypi zmienionym głosem — ruszaj! — rzęzi jej w piersi zdławionym świstem. Ruszaj! Ty gałganico!...

. . . .

Stara odchodzi ku chacie. Córka patrzy w milczeniu, jak trzęsie siwą głową, jak wchodzi do chaty i drzwi za sobą ciężko zawiera.

Biała postać Jewki odcina się od czerwonego tła zachodzącego słońca, oblewającego ją jakby potokiem krwi.

Gdzie iść?

Ona się tutaj ledwie dowlokła, sponiewierana, zbita, jak ranione zwierzę instynktem wlecze się do jamy, w której się urodziło.

A tu matka rodzona serce i wrota przed nią zaparła — to gdzież jej iść?.. Po raz pierwszy uświadomił się w jej myśli cały ogrom nieszczęścia, jakie ją spotkało, cała jego hańba, zamykająca jej może każde drzwi, do których zapuka.

Od ludzi chyba trzeba się chronić — ale jakże żyć?

Oparła się o płot, stoi koło niego — czepiła go się i myśli.

Brat został jeszcze. Ale żona jego wiedźma. Skąpa. Za dziewkę by się do nich nająć a pieniędzy nie brać.

Tak to może i wezmą, bo to oszczędność dla nich, a łyżkę strawy, co jej rzucą, odrobi im w czwórnasób. Wiedzą o tem, i często bratowa na jej robotę była łakoma.

Nie chcieli jej płacić, więc poszła na służbę, żeby się czegoś dorobić.

I dorobiła się!.. Żal jej serce rozdziera.

Nagle wrota skrzypnęły. Porwała się od płota, odwróciła i powlokła się tą samą ścieżką, którą przyszła, pomiędzy zielonymi płatami zboża, ku

czerwonemu niebu, zalewającemu świat za czarnym wałem lasu...

* * *

Parno, duszno we wiejskiej, drewnianej cerkiewce, choć przez drzwi jej rozwarte płynie rzeźwy powiew kwietniowy z cmentarza. Na posadzce z szerokich sękatych desek sosnowych — klęczy tłum ludzi odzianych w białe płótnianki, z pod nich czernieją kołnierze kożuchów, jakby jakieś ciemne, smutne obroże, w które Dola skuła szyje swych dzieci.

Cisza.

Smugi pyłu snują się po promieniach słońca, co się tu przedziera przez nagie jeszcze gałęzie lip.

Z ciemnego kąta cerkiewki, z pod pajęczyn konfesyonału płynie szept przyciszony.

Z za kraty odpowiada mu drugi, również cichy.

Nagle ten drugi drgnął głośniej, jak struna dotknięta nieostrożną dłonią.

Z żydem? — usłyszała Jewka przez chustkę, którą miała na głowie, Jewka zgięta, zgarbiona pod ciężarem grzechu i wstydu.

Z żydem? Rozeszło się złowrogim dreszczem po całem jej ciele, przeszło, aż do pięt obutych w duże, podkute buty.

— Ta już taki tak — szepcą jej trzęsące się strachem i wstydem blado-sine wargi.

— Za to niema rozgrzeszenia. Przyjdziesz za dwa tygodnie, tymczasem módl się, kajaj, żałuj.

— Jegomość!.. — drży cicho prośba z pod chustki — Jegomość...

— Nie mogę. Za ciężki grzech, nie mam prawa, przyjdź za dwa tygodnie.

Zgięta do ziemi, złamana zda się, nie wiedząc gdzie się podziać, chciałaby Jewka, żeby się ziemia pod nią rozstąpiła. Wzrok tłumu zdaje się palić ją jakiemś strasznem, bezlitosnem piętnem.

Zdaje się jej, że cała cerkiew wie już o tem, iż ksiądz nie dał Jewce rozgrzeszenia, że wszyscy wiedzą za co.

Skryć się — skryć! Gdziekolwiek, byle się skryć przed oczami tych ludzi.

A oczy te stare i młode, jak kwiaty ugorne zeszłoroczne, zwiędłe i nowe dopiero z ziemi wytrysłe, zapatrzone w słońce, spoglądają w carskie wrota, przez których złocone rzeźby widać główny ołtarz, osnuty dymami kadzideł, i w jarzące się na nim świece woskowe, i w wosk stopiony, co kapie z nich po ołowianych lichtarzach na obrus uszyty z chustek wiejskich kobiet. Patrzą w krwawe światło wiecznej lampy.

Jej płomień zdaje się gasnąć chwilami i znów się ożywia i chwieje w lampie ze szkła czerwonego, w złotej smudze słonecznego blasku z za lip.

Jewka przepycha się przez ścisk, jak przez rózgi.

Wtem, jak kiedy wiatr rozwieje snopy, postawione przez żniwiarzy kłosami do słońca i kładzie

je pokotem po ziemi, tak wzniosły się ręce ludzkiej ciżby, jakby rozwiane niewidzialną mocą i biały wał pleców pokrył deski cerkwi.

— Aaa Hospody! — wydobyło się westchnieniem z piersi tłumu, jękło orkanem, wiało jakby nadprzyrodzonem Objawieniem nad ciżby ludzkiej rozścielone ciało, kłębiło się w ciasnych ścianach świątyni, szło tajemniczą grozą przez drzwi rozwarte na cmentarz, na piaski szare, ciągnące się po za nim, i dalej gdzieś w świat.

— Aaa Hospody! — modli się, kaja, drży lękiem Pokuty biały tłum, leżący krzyżem w kurzach podłogi.

Jakieś ciche zadowolenie, uczucie ulgi ogarnęło Jewkę.

Oni tam zapatrzeni w carskie wrota, bijący pokłony, nie zważają w tej chwili na nią, nie widzą jej może.

I oni się boją... Każdy ma swój grzech... I oni także...

Uspokojona trochę, przed samą sobą ukryta w swej hańbie, leży krzyżem w białym tłumie, z twarzą wtuloną w błoto, opadłe z butów chłopa, klęczącego przed nią.

A zanim ława ludzka powstała z klęczek, już jej w cerkwi nie było...

Niedziela Wielkanocna.

Słońce złoci runie, ciepły już wiatr dzwoni po suchych ziołach pieśni Zmartwychwstania. Na żół-

tych kwiatach iwy, kołysanych wiatrem brzęczy rój pszczół; rdzawe i żółte, pierwsze motyle wiosenne, jakby zdziwione życiem, niepewnym przerywanym lotem przelatują nad pola.

Z chałup wychodzą gromadki biało odzianych ludzi, mężczyzn i kobiet, koło nich dzieci, starcy wloką się z tyłu.

Boso, trzymając buty w rękach idą wszyscy miedzami ku polnym drogom, płyną śnieżną falą gościńcem, wiodącym do cerkwi. Po deszczu wczorajszym pachną ziemią budzące się ze snu zagony, zorane pod owies.

Dusza pól zdaje się promienieć w drgających do słońca falach powietrznych. Zdaje się wstawać ze ziemi, iść do stworzeń, do ludzi, kochać życie, modlić się. Wielka, czysta, promienna Miłość wonieje w powietrzu, dzwoni pieśnią skowronków w błękicie, szumi wiatrem, wieje na świat, otula go, święci się szczęściem słonecznem.

Gromadki ludzkie spotykają się ze sobą po drodze.

— Chrystos woskresen! — mówią jedni.

— Woistenno woskresen! odpowiadają drudzy — i razem już idą. Baby podniosły kożuchy i białe płótnianki, chroniąc je od błota.

Głos dzwonów płynie w przestworzu nad niwy, nad łąki. Dopadł boru, po pniach sosnowych dźwięczy, miesza się z szumem ich koron.

Radość im niesie, czy ból? Tak samo dźwię-

czał zeszłego tygodnia na pogrzeb starego Chomy leśnego, tak samo zawodził. Choma chodził tu przez pół wieku, wychował wszystkie te drzewa, znał każdą sosnę w borze, każdą brzozę na rowie granicznym.

Niedawno dzwony po nim płakały. Dziś dzwonią szczęście zmartwychpowstania. Tak samo, jak przed tygodniem, tak samo i drzewa szumią tak samo...

* * *

— Lepiej bo i ono, że ktoś zostanie w chałupie — mówi brat Jewki, wychodząc z żoną do cerkwi.

Jewka siedzi koło pieca i słyszy, jak idą podwórzem, jak wychodzą za obejście i zamykają za sobą skrzypiące wrota. Chcieli nawet, żeby szła z nimi, ale ona nie chciała. Od tygodnia jest u nich.

Wzięli ją łakomie, bo zaczynały się w polu wiosenne roboty, a oni wiedzieli, jaka im siła przybywa.

Pracuje od świtu do nocy. Parzy osypkę dla świń, nosi wodę, miele na żarnach, gotuje. Najlepiej lubi kopać w polu, całymi dniami, bez odpoczynku, do umęczenia byle być samą, jak najdalej od ludzi. Za to ma kąt na strychu i łyżkę strawy.

A dziś... Dziś ma odpoczynek.

Została się sama, rada, że nikt na nią źle nie spojrzy, nie powie jej nic złego.

Kto wie, jakby w cerkwi było... Może wygnaliby ją, a przynajmniej obśmieli.

Bo to już widno, ten jej grzech... Duszno jej w chałupie. Wyjdzie, schowa się w pasiece, na pszczoły patrzeć będzie. Lecz teraz, kiedy ją zawiał wiatr od pól, gdy widzi ludzi śpieszących do cerkwi, przypomina sobie tak żywo, jak od dziecka, co roku, w ten dzień biegła z nimi ochotnie, jak się cieszyła, patrząc na Chrystusa, wyrzeźbionego z drzewa, co stał na ołtarzu w czerwonej sukni, z długimi włosami, spadającymi na ramiona, z chorągwią w ręce, z barankiem u piersi.

Ale On by może był nierad, gdyby ją ujrzał w cerkwi, w grzechu nieodpuszczonym.

Możeby spojrzał na nią surowo, ręką, którą trzyma chorągiew, wskazałby jej drzwi.. I wtenczas pewnie byłaby już na wieki przeklęta, ona: ladaco — gałganica.

Nie, ona nie pójdzie, dziś się czegoś boi tego Chrystusa, tych ludzi biało ubranych, wymytych na święto, z włosami lśniącymi świeżem masłem, z sumieniem rozgrzeszonem. I w tej chwili przypomina jej się inny Chrystus, ten biedny w kapliczce za wsią, przybity do krzyża, z ranami, opływającemi krwią, co zda się ścieknie po krzyżu na zioła rosnące pod kapliczką. Przypomina sobie,

jak dziecku już żal jej go było, że taki sam na polu, czy mróz, czy upał, czy burze.

Przychodzi jej na myśl, jak rwała wtenczas kwiaty na łące, jak plotła we wianek rozchodnik, jak darła się potem przez tarń na wzgórze, by Mu zawiesić kwiecie u nóg. A potem całowała, głaskała te nogi, przybite jedna na drugiej gwoździem do drzewa.

Co on też tam robi?

Tak dawno go nie widziała... Ona go się nawet nie boi, On taki bardzo biedny, nikomu by nic złego nie zrobił.

. . . .

Jewka przełazi przez płot pasieki i miedzą wskroś pól, zarosłą głogiem i tarniną, idzie, wykrada się za wieś, gdzie stoi na wzgórzu kapliczka wśród lip.

* * *

Zapomniała Jewka, siedząc skulona w suchem zielu zeszłorocznem, obrastającem kapliczkę, że co roku, w pierwsze Święto Wielkanocne idzie tu z cerkwi procesya. Zapomniała o niej. Oczy jej, wpatrzone w głowę Chrystusa, owiniętą cierniową koroną, zdają się mniej trwożne, mniej smutne. Tylko za każdym wystrzałem z moździerza na podwórzu cerkiewnem dziwny dreszcz wstrząsa skulonem jej ciałem. Wówczas wzrok dziewczyny biegnie z trwogą ku błoniom za wsią, kończącym

się siną smugą lasu, biegnie ku nim z trwogą ściganego, dzikiego zwierza, kiedy się ogląda za gąszczą, chcąc się w nich ukryć. . . . . . .

Lecz teraz cisza nastała wielka. Umilkły strzały i rozmodliło się wszystko, w jakiemś niby omdleniu, spokoju pełnem.

Siedzącą pod figurą dziewkę rozebrało, aż od tej ciszy, tego wonnego powietrza wiosennego, przepojonego zapachem ziemi. Głowę do ziół przycisnęła. Zapomniała o swej doli, o hańbie. Zasnęła.

Tymczasem od wsi, od cerkwi rozwija się powoli drogą, jakby wstęga.

Procesya idzie, a śpiew jej płynie, jak kołysanka, cichy z początku, falami powietrza ku figurze niesiony. Jewkę ten śpiew jeszcze głębiej do snu kołysze.

Na czele pochodu idzie ksiądz, staruszek w czerwonym, złotem wyszywanym ornacie. Za nim bractwa niosą chorągwie, jedne długie, powiewne, różnokolorowemi wstęgi rozwiane na wiatr, drugie rozpięte na drzewcach w kształcie obrazów.

Słońce złoci siwy włos księdza, wicher rozwiewa go srebrnym wieńcem dokoła głowy. A starzec wpatrzony w zielone runie pól, wsłuchany w gwar ptaków po gajach, krzyżem świętym żegna świat na okół. Z dłoni jego, wzniesionych w niebo, zdaje się spływać jakaś moc święta, zaziemska:

Błogosławieństwo niwom, które mają rodzić

I łąkom zieleniejącym się błogosławieństwo, i gwarom ptactwa w oczeretach.

I pszczołom, stojącym na kwiatach iwy.

I motylom świeżo narodzonym, że zdobią świat.

I płodowi wszelkiemu, który pragnie życia.

I ludziom po wszej ziemi, którzy sprawiedliwi są przed Panem.

I tym biednym, zbłąkanym, co trwają w błędzie.

Błogosławieństwo na bory sine po za wsią, i na cały świat...

. . . .

Jakieś dziwne rozmodlenie w powietrzu. Jakby łaska niewidzialna biła od tego starca, płynęła mu z oczu, z rąk, z serca, z duszy, do wszystkich oczu, do wszystkich serc, do wszystkich dusz. Jakby się niebo rozwierało i ciche, słodkie moce spływały zeń na ziemię. Z jej woni, z runi zbóż z złota słońca rodzi się wielka, promienna pieśń dziękczynna, chór pełen litości, hymn przebaczenia.

. . . .

Śpiew potężnieje. To już nie kołysanka, to ze stu piersi modlitwa, co pod niebo błękitne dzwonem prośby bije.

I nagle budzi się Jewka. Wzrok przerażony wbija w białą, krętą, piaszczystą wstęgę drogi. Dostrzegła procesyę. Jak zwierz spłoszony zrywa się z darni i przez badyle suchych ziół, pomiędzy krze tarni i głogu, rozgarniając je rękami, zgięta

wpół, na czworakach przedziera się przez gąszcze, choć one krwawią jej ręce, twarz, czoło...

Nie pyta o to.

Uciec! uciec, byle prędzej!...

Nabiegłe krwią, opętane lękiem jej oczy całą siłą strachu wytężają się w stronę, gdzie za wsią sinieje bór. Coś ją ciągnie do niego, jakiś instynkt samozachowawczy, jakiś głos jej doli nieszczęsnej... Znikła w drzewach lasu.

Kiedy procesya stanęła przed kaplicą, już chwiać się przestały roztrącone przez Jewkę suche badyle ziół.

W BLASKU OGNIA.

Co za głos?

Co to za straszny głos?

Huk dzwonu, który nagle pękł i pędzi w przestrzeń jękiem i skargą — krzyk piersi rozsadzanych bolem, gdy jeszcze siły w nich moc, takiej, co targa, ciska ciałem, i oddziela się odeń gwałtem burzy?

Takie wycie, nito dławionej wilczycy, pozbawionej szczeniąt, nito roztęsknionego wiosną niedźwiedzia, ni wiatru, co gnie do ziemi konary, druzgoce drzewa.

Taki straszny, okropny głos...

A biegnie hukiem po rżysku jesiennem, po źdźbłach rzadkich i zdeptanych bydłem, a od tego tchu do ról się tuli reszta zziębniętych źdźbeł.

W lirę wygięte sosny bliźniacze na miedzy wśród pól nadstawiają złotopłowe grzbiety strwożone, zdjęte lękiem — bo strach — bo strach!

A potem naraz cisza — wielka cisza, taka dziwna, rozlewna, jaka całą ogromną tęsknotą morza zatapia równiny o jesiennych chłodnych wieczorach.

Mróz idzie z Północy, wszywa się w złote

sterty świeżo omłóconej słomy, grzać się chce w tych olbrzymich słonecznych katafalkach, takich przytulnych, ciepłych, spokojnych. Z nieba zwisają brudnemi szmatami porwane, postrzępione chmury, mgła włóczy się po polach, wilgocią wsiąka w każdy liść, w każdą trawę, w każdą ziemi grudkę, w każdą szparę, którą od słońca i mrozu popękały wrzeciądze chłopskich wrót.

A od czasu do czasu po przez jesieni żałobne osłony błyśnie niemocne już słońce i jakby letargicznem gromnic światłem pozłoci na sen zimowy to, co żyje jeszcze i co już kona.

* * *

Wąską polną drożyną wyciekła drobnym truchtem linia wylękłych kuropatw spłoszonych, goniących chyżo za starym kogutem o dużej, rdzawej podkowie na szaro-popielatej piersi.

Przemknęły przez drogę z jednej ścierni w drugą — gęstszą, zazielenioną bujną, młodą koniczyną.

Instynkt pędzi je w gąszcz — czują za sobą wroga-człowieka.

. . . .

I zjawia się w ślad za niemi szereg myśliwych, ze strzelbami gotowemi do strzału, o wzroku wytężonym przed siebie.

Idą wolno, spokojnie, syci, ciepło odziani — wpatrzeni jak żeglarze w kompas w ruchy ciemnobronzowej wyżlicy.

Pies, który dotąd przebiegał swobodnie ścierń w poprzek przed linią strzelców — nagle zwalnia chodu — wysuwa łeb przed siebie — pręży ogon jak strunę — podnosi przednią łapę, i jakby się skradał — jakby czaił do czegoś — wlepiwszy w jeden punkt krwią zaszłe ślepia — posuwa się naprzód.

Naraz staje jak wryty i czeka.

Ludzie podchodzą ostrożnie za nim, ze strzelbami wzniesionemi do pół ciała, z palcami wskazującymi na cynglach, wytężając wzrok przed siebie w kierunku psich ślepiów.

Burkot — i chyżo jak myśl, zrywa się im z przed nóg prawie stado kuropatw pod czerwień zorzy wieczornej.

Kilka smug dymu wykwita za niemi; i zanim jeszcze skonał w rosach huk strzałów, spada zataczając bezwładnie kręgi w powietrzu kilka szarych ciał ptasich po purpurze zachodu — na ścierń podszytą koniczem.

Porwała się pędem wyżlica, cienkie jej nóżki lecą zda się nad polem, nie dotykając ziemi, bronzowe uszy zwierzęcia tańczą dziwny jakiś taniec tryumfu — rozkoszy.

Jednego po drugim bierze lekko w pysk, drgające jeszcze ptaki, i ostrożnie, po mału, jakby wstydząc się, przynosi i składa je u nóg najbliższego z myśliwych.

On głaszcze ją po lśniącym karku, przemawia do niej czule, ogląda pobite ptactwo.

Zeszli się inni, patrzą gdzie który ptak trafiony, dzielą się łupem, dobijają żywe kuropatwy, tłukąc ich główki o kolby strzelb, o buty, niżąc rzucające się jeszcze — w troki zawieszone u torb.

»No — dziś się udało« — mówi jeden z nich, ścierając starannie z szarego ubrania ciekącą krwawą posokę.

Właściciel suki dumny, głaszcze wciąż atłasową skórę psa.

— Mądry pies — Dobra sucia!..

Odrywa rękę od grzbietu zwierzęcia — zdejmuje z głowy filcowy kapelusz ozdobiony piórkiem. —

— Ciepło mi — stanowczo ten »loden« za gruby na jesień...

— Mówiłem ci — odpowiada pan o krzywych nogach, opiętych w żółte kamasze.

Zapalają cygara. —

Ocierają o ścierń buty okrwawione od tłuczonych głów ptactwa.

. . . .

Z oddali — od płonącego ogniska płynie ku nim ostry, gryzący dym.

— Trzeba zakazać palić tu ognie — moglibyśmy jeszcze co znaleźć w tamtych ziemniakach. Widziałem rano były poparpane...

— »To pastuchy«...

Wiatr gasi im cygara — skupili się w gromadkę — walczą ze zapałkami, które im gasną co chwila.

. . . .

Na pustem — olbrzymiem ściernisku płonie stos chróstu i słomy, okolony kłębami dymu.

I z nich prawie nagle pojawia się coś jak człowiek-widmo, niby Duch-upiór tych pól ogromnych i smutnych. Staje na tle ceglasto-krwawej łuny wieczornej, zlanej ze ziemią ostatnim zalewem słonecznego Zachodu.

Dokoła niego wszystko zieje ogniem i purpurą — dym ze skrami zda się płynie mu z pod stóp.

Płomienno-rude zwoje dymu, to wiją się w potopie zorzy, przecinają — rzucają na nią smugi o kształtach widm, to okalają, bramują jej przezrocz złotą, rozpłynięte w sine mgły — lub zbite w czarne, kirowe festony.

I stoi ta zjawa wieczornego smutku bezkresnych płaskich równin o zachodzie, jakby wcieleniem ich Beznadziei nieutulonej, ich poddania się Losowi, co gna za czemś dzień i noc po gładkiej jak tafla powierzchni tych ziem, jak wicher żenie przed siebie liście w jesień, jak życie pędzi wszystkie swe dzieci naprzód i naprzód...

Stoi człowiek-upiór, i przygląda się szklanemi, jakby w Błąd zaklętemi oczami idącym opodal strzelcom.

Wargi na pół otwartych ust zwisają mu, zaciekłe śliną.

Z pod rozmamranej koszuli widać kępy kudłów porastające ciemną pierś.

Wicher zerwał płótno, którem pokryte były jego plecy w kształt chustki — rozwiewał i targał po spiczastej głowie kosmyki brudnych włosów.

Człowiek ten wykwitł z po za ognia jakby jego demoniczna Treść — jak kapłan Znicza w swych rozwianych, płóciennych szatach, i stoi nieruchomo — stężały z odblaskiem Zorzy wieczornej i płomieni ogniowych w ogromnych szeroko rozwartych źrenicach. . . . .

Myśliwi patrzą nań z obojętną ciekawością.

— »To on pali ciągle ognie...«

— Któż to?

— Pastuch żydowski, idyota, epileptyk...

— Wiesz — wczoraj za nim dzieci na wsi rzucały kamieniami.

— Czemuż go do szpitala gdzie nie wezmą?

— Nieuleczalnych nie przyjmują...

. . . .

Wicher zadął — rozrywał płachty z grzbietu epileptyka — roznosił po polu perz, rozwiewał piórka martwych kuropatw, zawieszonych u troków.

— Chodźmy!...

— Tam znowu ognisko dogasa...

— Trzeba koniecznie żydowi powiedzieć, niech go wygoni...

— W tych warunkach nigdy się nic porządnego nie zabije...

— Chodźcie!...

I poszli jeden za drugim, szarzy, niewyraźni w skradających się cieniach wieczornych.

Tylko zdaleka migocą ogniki ich cygar, odbijając się od czasu do czasu w lufach przewieszonych przez plecy strzelb.

Przodem biegł cicho, leciuchnym truchtem bronzowy pies.

I weszli pod baldachim lasu — znikli w jego Tajemnicy wieczornej.

. . . .

Z po za ogniska chyżemi skoki, jak dziki pierwotny człowiek wypada epileptyk i pędzi ku miejscu, gdzie widział spadające kuropatwy.

Rękami przesuwa po ścierni, szuka na niej śladów krwi, śmieje się kiedy widzi zwalane nią dłonie, zbiera skrzętnie piórka wytargane ptakom przez psa — i pęk ich wkłada w dziurę czarnego od słót, słomianego niegdyś kapelusza, któremu Czas i wichry oberwały kresy, zostawiając tylko dno.

Włożył je na głowę, i znowu zdjął, jakby nie mogąc dość się nasycić widokiem piór.

Tyle razy widział te ptaki, jak przebiegały czasem tuż koło niego, tyle razy rzucał za niemi patykiem, kamieniem, a nigdy nie mógł ubić żadnego.

Teraz ma pióra z nich — umaczał ręce w ich krwi.

Twarz jego o wyrazie idyotycznym, nalana, obrzękła, o cerze ziemi ściąga się zawiścią, spogląda w stronę, którą poszli strzelcy:

»Kobym maw taku strilbu jak wy, wsio bym zabyw, i was wsich« — bełkocą sine wargi — grozi wyciągnięta w Przestrzeń ręka. . . . . .

. . . .

Nasycił się jednak piórkami, krwią — i znów jego błędne oczy zwracają się do ogniska.

Porywa go coś ku purpurze ognistej, pragnie jej dokoła siebie jak najwięcej, jakby się chciał okolić gęszczą krzaków rozżarzonych, strzelających skrami — schować, ukryć się w niej.

Rzuca się na perz, na badyle, na gałązki sosen, nosi je oburącz i jak szatan rozpala jedne stosy po drugich, jakby tygle piekielne, w których dogorywają poznaczone w karby purpurowo-popielate zwęglone gałązki chróstu.

Jeden — drugi stos płonie... oświetla przydrożne sosny — bledną przy czerwieni ognia sterty słomy złocące się w oddali.

Wicher roznosi iskry. W środku ścierniska płonie rubinowy słup.

Na tle Zorzy wieczornej dym bucha i bucha z krwawego Zjawiska płomiennej Przemiany.

I idzie w Bezkres równin przednocny po gasnącej już słonecznej łunie — ściele się pod złoty

księżyc, co cichem, łagodnem światłem wschodzi na drugim krańcu widnokręgu — hen daleko z poza łąk.

Idzie Strachem i Grozą i Lękiem i Pieszczotą nad pieszczoty — i Dzieciństwem — i Odmianą i Zmartwychwstaniem i Wiecznością.

Niekiedy buchnie gwałtowniej, a wtedy rozkłębia, rozbiega się po niebie stadem burych psów o pyskach rozwartych, lwów o złotych grzywach zjeżonych — rozchwianych wichrem — głodnych i groźnych, ryczących za żarem pustyń słonecznych.

To znów rozwiewa się w szeregi siwych starców przedzgonnych o białych jak mleko, po pas długich brodach i włosach — starców — widm, płynących milczącym korowodem nad puste obszary rozsianych w bezbrzeżną Dal kretowisk. Albo rozpływa się w całe wieńce dziewic o śnieżnych szatach falistych, o alabastrowych piersiach rozwartych na chłód wieczoru, o rozwianych na świat warkoczach rudowłosych ostatnim blaskiem słonecznym i wschodem księżyca — przetykanych gwiazdami.

. . . .

Snuje się dym po ciemniejącem pastwisku — a w jego obłokach, w słupie ognia, z twarzą czerwoną płomieniem i Zorzy odbłyskiem, z oczami nieruchomo wlepionemi w ogień stoi Łuć-Upiór — bezwolny, bezwiedny jego kochanek jeszcze

z tych czasów, kiedy go Zniczem chowano po izbach chat — po świątyniach pogańskich. . .

. . . .

Bo Łuć zrodzony był z Ognia i Nędzy — a ojcem intellektualnym był mu smutek ponury — matką beznadziejna Tęsknica jego ziemi.

* * *

Mrok już padał — mróz brał coraz silniejszy — hen dawno przed laty — gdy do chałupy wrócił z pogrzebu pijany pałamarz.

Cicha komornica rozpaliła ogień w piecu, i choć szeroko rozwarta czeluść buchała jego czerwonym płomieniem — ciepło uciekało z chałupy.

Wicher uderzał z mocą w cieńkie jej ściany, stroszył, wyrywał słomę z poszycia dachu, jęczał, zawodził w kominie.

To była jedna z tych nocy przestrasznych, których Tajemnicę mają w sobie tylko równiny nieskończone. W górach wzrok, Myśl, Dusza, liść, ptak, Uczucie mają się gdzie zatrzymać, do czego przypaść, jak człowiek przypada do błysków uczuć szlachetnych, jak grzesznik przypada do stóp spowiednika — dziecko do sukni matczynej.

A na tych równiach posępnych tylko Otchłań krwawego nieba rozwarta w Nieskończoność Zachodu — w kraj nieścigły ni okiem ni spokojem...

Wrócił chłop w tę noc z pogrzebu pijany wódką i strachem.

W uszach jęczą mu jeszcze dzwony, w bielmem zaszłych oczach majaczy trumna, jak się chwieje, jak podskakuje po skrzypiącym wozie na tle krwawego całunu zorzy wieczornej, przyćmionej strzępami czarnych chmur.

Mróz przechodzi pałamarza kości, grobowy chłód przenika mu duszę. Uciec mu — uciec od widm, od chłodu, zamknąć oczy czyjemś ciałem, dosłuchać się bicia czyjegoś serca.

U otwartego pieca, otulona w szmaty, siedzi blada komornica....

. . . .

Burza huczy w polu, wicher bije gałęziami drzew obmarzłych lodem o szyby okienka, wiązania chaty chwieją się i trzeszczą, a chłop i komornica drżący od zimna, okryci jednym kożuchem w tę noc lęku i grozy dają życie dziecku...

. . . .

Była to noc poczęcia z oparów wódki i błysków ognia — dusznego istnienia Łucia — epileptyka — dziwowiska całej wsi.

O! o! o! Już go tłucze!...

I pędziły za nim gromady dzieci.

Głowa Łucia bije o kamienie »cesarskiej drogi«, o grudę wiosenną, łamie lód w brózdach między zagonami, gniecie paprocie lasu. . . . . . .

. . . .

Nad trupami jego rodziców zapadły się nędzne mogiłki, on pasał krowy u possesora-żyda —

zbierał na polach perz, chróst, niecił ogień, w purpurę żaru godzinami się wpatrywał.

Czasem — zdjęty jakąś nagłą, szaloną tęsknotą do krów się zwracał, po imieniu je nazywał, tulił, tarł swoją głowę obitą do ich chłodnych, wilgotnych nozdrzy.

Ciepły oddech zwierzęcy dawał mu złudzenie jakiejś pieszczoty nieznanej.

I przez ugór, przez pustkę, we mgły płynące z szuwarów bagien, biegło jakieś ciche westchnienie:

Ej maty! Maty ridnaja!

. . . .

Lecz od pewnego czasu zaszła zmiana w usposobieniu Łucia.

A stało się to, gdy wrócił do wsi z wojska fornal od koni Semko. Tęgi jak dąb parobek wysłużył trzy lata przy ułanach w Żółkwi. Teraz siedzi w kuchni folwarcznej, tuż pod oknem, w sinym mundurze ze srebrnymi guzikami, w czerwonej czapce i spodniach, w dużych, świecących jak czarne lustro butach z ostrogami.

Siedzi — pojada pierogi hreczane z serem i opowiada wciąż o wojsku. Łuć stoi zdaleka, czekając na chwilę, aż mu kucharka odmierzy jego porcyę.

Odmruczał dziś prędzej swe pacierze, które odmawiał zawsze odwrócony do ściany — »aby żydy mu w gębę podczas mołytwy nie patrzyły«.

I słucha, słucha, co Semko prawi, a oczy trzeszczy, a rękę utkwił w kudłach i patrzy jak dziki kwiat w słońce w Semkowe guziki świecące, w ostrogi, w czapkę jak mak czerwoną.

A Semko mówi, że nigdzie nie jest tak dobrze jak przy wojsku, bo tam codziennie dają mięso na obiad i knedle ze słoniną na »zuspeis«, a robić nie wiele trzeba i wyspać się można.

Od żołnierza — prawi Semko — poczyna się dopiero człowiek, a »cywil« każdy, choćby i najbogatszy, jakby na ten przykład sam hrabia z Krasnego boru, to nie stanie nawet za »szufecę« podłego infanterzysty, a cóż dopiero mówić o ułanie? Ten jak sobie zakurzy w Niedzielę »cygar« »do twarzy« — słomkę z niego założy za ucho i tak wyjdzie na »śpacyr«, brząkając szablą po »frotyrzu» to żadna dziewka ani spojrzy na »cywila«, tylko patrzy w ciebie i patrzy aż ślepia zrywa, a ty sobie wtenczas wybieraj, czego dusza »zabahnie«...

Rozumiesz Łuciu?

A Łuć stoi ciągle z oczyma wlepionemi to w guziki Semkowego munduru, to w jego czapkę czerwoną, to w buty, to w Semka samego.

Podjadł wreszcie »ułan« — wstaje z ławy. Brzęczą ostrogi. Dziewki od pokoju i praczka patrzą na niego z zachwytem. On okracza ławę i wychodzi kurząc cygaro. Za nim jak cień szary sunie Łuć.

— Semku?

— Co?

A do wojska biorą pastuchów?

Semko śmieje się całem gardłem.

— Chcesz »rukować?«... A no to pójdziesz... Jak ci się skończy dwadzieścia lat musisz stanąć do »assenterunku«.

Znajesz?

Odchodzi w sad, gdzie stoją rzędami ule i grusze rozłożyste toną pniami w trawie.

Błyszczą w słońcu zdaleka guziki, ostrogi, czerwieni się jak mak czapka żołnierska.

. . . .

I od tej chwili ogarnęła Łucia gorąca żądza dostania się do wojska. Nie miał jeszcze dwudziestu lat i właśnie ma stawać jesienią do poboru w Żółkwi.

A może go i wezmą?

Nie myśli o swojej chorobie, może i nie wie, że nie biorą z nią do wojska, nie oblicza niczego, widzi tylko jeden cel — jeden raj na ziemi — jedno słońce na niebie: Wojsko!...

. . . .

I dziś, kiedy tak stoi w kręgu płonących ognisk — nad sobą ma biały księżyc, za sobą purpurę zorzy, a w okół gwiazdy — oczy jego widzą w smugach dymu szeregi snujących się żołnierzy, odzianych w błękitne mundury o błyszczących guzikach, widzą ich jak idą długim korowo-

dem paląc cygara — syci, zadowoleni z siebie, bo jedzą co dzień mięso na obiad...

Ciągnie go do nich — jakaś siła nieprzeparta pcha go naprzód...

Poczyna zwolna przysuwać się do ognia coraz bliżej — bliżej — zdawało by się, chce skąpać się w płomieniach — rozpłynąć się w nich śladem swych myśli.

A może ozwał się w nim wnuk Druidów, co strzegli świętych Zniczów po głuchych borach, zapatrzeni we wiecznie syconePłomię, ludzie-Widma, o oczach zaszłych krwią, od jego krwawych blasków. . . . .

. . . .

. . . .

Nagle krzyk — wycie — ryk — nito wołu zabijanego — nito dławionej wilczycy, której zabrano szczenięta — nito roztęsknionego wiosną niedźwiedzia — ni wichru co gnie do ziemi konary — druzgoce drzewa.

. . . .

Po pierwszym krzyku jeszcze drugi — trzeci — i Cisza. . . . .

Stos silniej buchnął od wichru — rozsypał się skrami po ciemnem już tle wieczornego nieba.

A tuż koło ogniska tarza się, wije po rozpalonej ziemi i gorącym popiele człowiek-Upiór, straszny, z rozwianym włosem, z wykrzywioną twarzą — przygryzionym zębami językiem, wy-

szłym z ust — opienionym śliną — ociekającym krwią...

. . . .

Porwały się krowy z pastwiska, odzywają się rykiem na wrzask Łucia.

Zadarłszy w górę ogony — ze spuszczonymi ku ziemi łbami, o wyłupionych, krwią zaszłych ślepiach, buchające parą z pysków — pędzą do ognia — obstępują w koło stos i żywe, rzucające się w konwulsyach Epilepsyi, nieprzytomne Widmo człowiecze. . . . .

. . . .

W stronie zachodu lśni jeszcze wąski, jasny rąbek zorzy — od wschodu płynie wielki, złoty księżyc coraz wyżej — wyżej — migają gwiazdy to płonąc — to przygasając. W okół ogniska czerni się żywy wał, zbitych w gromadę krowich cielsk, a z jego czerni wypada co chwila ryk — lament — i idzie z rosą po ścierniach — na łąki — na ugór, gdzie kona na żywych jeszcze i więdniejących już od mrozu ostatnich ziołach jesiennych. . . . .

W ogniu pali się, skwierczy, ocieka, pryska krwią prawa ręka epileptyka, dziecka pałamarza pijaka i komornicy — pośmiewiska — wzgardy całej wsi. . . . .

. . . .

* * *

Śnieg prószy lekko — spokojnie.

Pierwszy śnieg listopadowy.

Pokrył rżyska wyciągniętem w bezmierne Dale płótnem — opowił je miękko na Sen — na Spokój — na Ciszę. . . . .

. . . .

* * *

Na wygiętej w lirę płowo-złotej sośnie bliźniaczej, przysiadł Łuć wracający z Żółkwi, gdzie stawał do poboru, bo skończył już dwadzieścia lat.

. . . .

Szedł drżący cały od radości — nadziei...

Zęby mu aż błyskały wśród warg zaślinionych.

Z krowami pożegnał się serdecznie, tuląc obrzękłe policzki do ich pysków wilgotnych.

Idę do wojska...

Strilba, mięso, knedle, ciepło... ryczał bydłu na pożegnanie stojąc na progu obory.

Rękę spaloną i chorą owinął w szmatę udartą z płachty, w której noszono koniczynę.

Wyleczą! W wojsku wyleczą!...

. . . .

. . . .

Wrócił i przysiadł na sośnie.

Bosy — w łachmanach — rozczochrany — straszny.

Beznadziejna Rozpacz wykrzywiła mu usta.

Twarz ma tak szarą, jak stężałe mrozem pola równin, ciągnące się martwą szarotą jesienną.

Nie chcieli go wziąść do wojska.

Epileptyk — rękę ma spaloną...

. . . .

Z tej ręki, którą zeżarł mu ogień, spadły łachmany.

Śnieg pada na nią, znacząc się drobnemi, srebrnemi łuskami na obdartej ze skóry, czerwonosinej ranie.

Porosła »dzikiem mięsem« — ociekła ropą — palce się pozrastały. Krwawy kawał ciała, o paznogciach sterczących zeń w kształt wbitych w pałkę gwoździ, podobny raczej maczudze oblepionej krwią i mózgiem, niż ręce...

. . . .

I znów zachodzi słońce.

Przestał śnieg padać, wypogodziło się — wyiskrzyło.

Wielka — krwawa — bezpromienna kula chyli się za rąbek czarnych chmur, o złotych brzegach.

Chwila — i morze Purpury zalewa biel ziemi, a po niem smutne i ciche kładą się fijoletowe cienie drzew i stert po polach.

Słoneczna kula tonie w wale chmurnym — i teraz poczyna blednąć Czerwień Przestrzeni i mienić się różem, jakby ją Bóstwo Wiosny zasiało kwieciem głogu i jabłoni.

Poczyna ciemnieć śnieg i sinieć, zrazu po śladach nóg ludzkich i bydła — w kolejach wyżłobionych przez sanie.

Aż wreszcie zwolna — zwolna cały ogrom pól przybiera ton głębi Niebieskiej — zlewa się z nią krańcami w jeden Odmęt bezbrzeżny — coraz ciemniejszy — cichszy — straszniejszy. . . . .
. . . .

Na sośnie w kształt liry siedzi jeszcze samotny cień ludzki — schylony — podany naprzód, jakby wtulić się chciał w Mrok, co prószył dokoła

I coraz niżej kłoni głowę — coraz bezwładniej opuszcza ręce po sobie.

Aż nagle krzyk straszny, nito dławionej wilczycy, pozbawionej szczeniąt, nito roztęsknionego wiosną niedźwiedzia, ni wichru, co gnie do ziemi konary, druzgoce drzewa. . . . .

I spada z drzewa w konwulsjach »Wielkiej Choroby« ciało człowiecze, — tłucze sobą o ziemię — miota się — pręży, wygina...

Chora ręka, podobna okrwawionej mózgiem maczudze, to tłucze śnieg — wyrzuca ziemię — to oblepiona piaskiem wyciąga się w Noc cichą — gwiaździstą — spokojną, jakby pisać chciała po niej:

»Ecce homo!...

* * *

WIDMA.

Ze szpitala, gdzie był lekarzem, wrócił jakiś więcej zmęczony, niż zwykle, więcej zdenerwowany.

Było dużo roboty, a on wszystko odrobił sumiennie, aż osłabł, całkiem z sił opadł... ledwie się przywlókł do domu. Leczy drugich, a sam jest chory.

Męczy go chodzenie, przy lada wysiłku okrywa się potem, czasem i gorączka przychodzi pod wieczór.

Kogo innego w takim stanie wysłałby na wieś, zakazałby mu pracować...

Ale on musi...

Żona, dziecko... bieda...

Nie może sobie pozwolić na wyjazd... Nie ma za co...

Wie, że ma piersiową chorobę, początki suchot, wypukał to sobie, wysłuchał... Wychudł w ostatnich czasach, ubranie, robione niedawno, wisi na nim...

Zresztą te poty, gorączka pod wieczór. I twarz o wypiekach złowrogich... Zna on je dobrze, te

róże cmentarne. Ale cóż robić? Trzeba drugich leczyć — siebie nie można.

Niema czasu — niema za co...

Zresztą te rzeczy często i same się goją, jak się trochę szanować...

I żyć z tem można.

Nawet kawerny mogą zawapnieć...

Niejednego odstąpili już lekarze, a on jakby cudem ozdrowiał...

Tak! Tak!

Na posłaniu pod ciężką, »wyprawną«, z czerwonej wełny kołdrą, leży pół martwy, z rękami bezwładnemi wzdłuż ciała.

Na ziemi w bezładzie jego ubranie, zrzucone w wysiłku ubranie, z którego rozchodzi się mdła woń karbolu, woń szpitalna, wlokąca za sobą grozę i przedsmak śmierci.

Był tak znużony, że nie zdołał według zwyczaju wyrzucić swej szpitalnej odzieży do kuchenki.

I teraz ma jedno pragnienie.

Żeby to choć spać...

Dawniej sypiał lepiej, dziś oka jeszcze nie zmrużył, chociaż taki zmęczony.

A może to księżyc sen mu odpędza.

Teraz właśnie pełnia.

. . . .

Przez kwiaty szronowe na szybach płynie blade światło do wnętrza sypialni, kładzie się ja-

sną, długą strugą po podłodze, lśni w lichtarzu, w szklance z wodą, na szafce koło łóżka, pada ciszą lodową na twarz człowieka o rysach wychudłych, szkli się w jego szeroko rozwartych źrenicach.

Te oczy wpadnięte w głąb, jakby same w siebie patrzyły, zdają się biedz szlakiem swych myśli gdzieś z mrocznych pól Przeszłości przez oświetloną księżycem sypialnię w jakiś bezmiernie, beznadziejnie daleko rozwarty, pusty odmęt.

Chory wzrok człowieka ślizga się po śnieżnej pościeli drugiego łóżka, z której, jak pęk złocieni z grzędy narcyzów, wykwita jasny snop włosów i świeża, jak kwiat, twarzyczka uśpionej młodej kobiety. To znowu idzie po rubinowej smudze lampki nocnej, gdzie złota główka różowi się w poduszkach.

I znów wraca ku postaci kobiecej w białej bieliznie, oblanej księżycem, na rysujące się z pod opadłej kołdry jej linie, w których kwiat rozkwitła tęsknota jego życia.

Patrzy na jasne wcielenie, złote ziszczenie się tych uczuć bezdomnych, które tak często pierś i mózg mu trawiły, na ten dom ich z żywych marmurów, kwiecia irysu i miedzianego słońca włosów. I widzi duszę kobiecą, jak płonie w alabastrowej lampie tego ciała czystą, przejasną cząstką jego ja, oderwaną odeń przed wieki.

Wychował ją sobie duchowo, rozwinął w niej cały ogród najpiękniejszych kwiatów, jakie Bóg sieje w ludzkiej piersi.

Każda myśl, w nim poczęta, szła do niej cicho, jak oddech ziemi idzie na lilie, zapładniała ją coraz nowem, coraz czystszem pięknem, oddawała się jej rozmodlona w tem, co dobre w duszy kobiecej, klęczała przed nią, jak przed bóstwem, któremu się składa ofiary...

. . . .

Jego świat cały w tej uśpionej istocie, uzupełnienie, synteza wszystkich jego najlepszych pierwiastków...

. . . .

A tam w kołysce śpi cicho polna róża ich tęsknot — mała dziecina różowa.

Cisza — tylko słychać miarowe wahania ściennego zegara...

Zawarł powieki, leżał czas jakiś nieruchomo, i znów je otworzył.

Chore oczy, zmęczone pracą, idą smętnym niepokojem po świetle księżyca. Idą, jakąś drogą nieskończoną, to ciemną, to jasną a śmiertelnie pustą.

Wtem martwota poczyna żyć.

Szarpnął się na łóżku.

Próżnia dokoła niego rusza się, kłębi, zaludnia dziwnemi widmami.

Powstają one zrazu niewyraźne, przymglone, jakby szły z odległych pól omierzchłych Czasem, lecz coraz wyraźniej wypełzają z pokoju, rosną, zda się, wywijają swe ciała glist widmowych z fałdów odzieży, czerniejącej się mogiłą na oświetlonej księżycem posadzce.

I powoli wyciągają się długim korowodem w krwawej smudze rubinowej lampki. Szeroko rozwarte, płonące dogasającymi węglami źrenice chorego człowieka widzą, jak jedna mara po drugiej okrąża wózek dziecinny, jak zagląda cicho do niego, pochyla się nad nim.

Widzą w dziwnem, półsennem uświadomieniu to, czego nie widziałyby może w dzień, czegoby inne, zdrowe nie dojrzały oczy.

Jakby jasnowidzenie jakieś przyszło na chorego.

Ta zimna, ślizka mara, niby z wody wyjęta, dygocąca dreszczem — to zimnica.

Owija się wężem dokoła wózka, zda się ślizgać po jego bokach plecionych, przytulać do nich, wciskać w nie... Aż zwolna, jakby zmęczona wysiłkiem, rozpływa się w świetle lampki nocnej.

A ta ogniem ziejąca, o włosach rudych, płomiennych, z twarzą centkowaną czerwono — widmo-żar...

Liże włóczkową, czerwoną kołderkę dziecka, skacze po niej, syczy, gryzie ją...

Przypadła i druga czarna, cała w krostach — z dziurami na twarzy po rękach.

To ospa, a tamta ogniowa — to szkarlatyna.

Tłoczą się dokoła drobnej twarzyczki, wyciągają do niej ręce-języki.

Odsuwa je inna, straszna, sina, o wysadzonych na wierzch oczach, w ręku trzyma pętlę z powroza, zarzuca ją dziecku na szyjkę...

Porywa się ojciec z pościeli, chce biedz, odpędzić zmory.

One usuwają się przed nim, tańczą, wirują.

Wionęły łachmanem ciał, łachmanem szat i rozpylił się od nich cały kłąb dziwnie bezlitosnej, szpitalnej woni, pełnej grozy i przedśmiertnych dreszczów samotnych, sierocych, bez łez niczyich, bez jednej duszy życzliwej.

I tańczą tak widma, wirują naokół śpiącej dzieciny — coraz chyżej, coraz chyżej, aż wreszcie, rozpłynąwszy się we mgły, giną w czerwonej smudze nocnej lampki.

. . . .

Opadł znów na poduszki, przymknął oczy, nie śmie powiek rozewrzeć. Otwiera mu je za chwilę trwożna ciekawość.

I znów ta woń szpitalnych sal.

Wzrok jego kieruje się w stronę mogiły odzieży, bo czuje, bo wie, że stamtąd wywije się nowe widmo.

Jest już — pełznie — twarz ma wychudłą w duże plamy ceglaste. Skrada się zwolna, chwiej-

nym krokiem, lepki pot spływa po wyschłych, trupich rękach.

Nagle pierś zapada się widmu od kaszlu strasznego, to znów rozszerza się, wypina liniami żeber.

I nic nie może tego kaszlu powstrzymać.

Długie, kościste palce o krzywych paznokciach chwytają za żebra, cisną, wyginają rozpacznie, jakby je chciały w pierś wdusić.

Wszystko napróżno...

Nowa fala konwulsyjnego kaszlu.

Chrzęści widmo kośćmi, dysze zmęczone, opływa potem...

Aż nagle podrywa się ostatkiem sił, ciska naprzód i ustami, z których bucha krew, przywiera do cicho rozwartych usteczek dzieciny.

Poznał ją chory lekarz.

To ona, jego upiór, jego zmora śmiertelna: gruźlica.

Wyskoczył z łóżka — chce odpędzić widmo, schwycić je za gardło — zdusić...

Patrzy rozgląda się: nic.

Wrócił do łóżka.

— Halucynacye! — szepcze sam do siebie — wytwór podnieconych nerwów; pewnie ma gorączkę...

Zdaje mu się, że wreszcie zaśnie.

Lecz teraz budzi się dziecko, trze główkę o poduszki, krzywi usteczka, podciąga nóżki pod

siebie, rozkłada zaciśnięte rączki i krzyk płaczliwy, przeciągły, żałosny idzie w noc.

Drugi — trzeci...

Płacze dziecko i płacze.

Zbudziła się matka, wstaje, narzuca błękitną, spłowiałą spódnicę, nie okrywa nagich ramion — podchodzi do wózka, bierze dziecko na ręce, tuli je, huśta, pieści, całuje.

Ono płacze i płacze.

A jęk ten zda się idzie przez szyby zamarzłe, w poprzek ulicy, na dachy sąsiednich domów, na ich sterczące kominy, na oszronione białym puchem drzewa, w jasną noc gwiezdną, i dalej — dalej...

Ozwały się koty po strychach, jęły mu wtórzyć cicho zrazu, podobnie do kwilenia dziecka, potem głośniej, rozpaczniej, jakby ich oczy, widzące w nocy, dojrzały coś strasznego. Opodal w podwórzu pies zawył, zaszczekał, i znów wyje w noc.

Za nim drugi, dziesiąty.

W ich głosach niespokojnych, to przeciągle zawodzących, to gwałtownie urywanych, drga odczucie czegoś złego — odpędzanie jakichś mar.

Po całem przedmieściu naszczekują, wyją psy, miauczą koty po dachach...

. . . .

Dziecko płacze.

Tuli je jasnowłosa kobieta, na rękach huśta, całuje.

Czego ono płacze? Czego? Niepokoi się cała jej istota, pyta raz po raz dziecka, siebie, męża, nocy...

Nie płakało nigdy tak długo.

Czego ono chce?

Przewinęła je, daje mu pić.

Nie chce, rączkami odpycha flaszeczkę.

— No czego płacze? Czego chce? Ty moje, ty drogie, skarbie moj złoty, świecie cały...

A ono nie płacze już, ale zanosi się, krztusi, pieje, aż sine, bez tchu prawie, milknie chwilami, by nową skargą, coraz boleśniejszą, rozedrzeć noc...

. . . .

— Władku, okryj się! mówi kobieta do męża — otworzę okno, to ten karbol go dusi... Ubranie twoje nim przesiąkło... Zapomniałam przewietrzyć pokój.

— Mnie tam nic nie będzie — odpowiada jej cichy głos suchotnika — osłoń jego... A włóż co i na siebie, tak nie można, przeziębisz się...

Ona kładzie rozpłakane dziecko pod kołderkę, otula je swoim futrzanym żakietem, na siebie narzuciła chustkę, podchodzi do męża, przykrywa go surdutem.

Otworzyła okno.

Zimna fala zalała pokój.

Z lodowem światłem księżyca płynie świeża, ostra woń powietrza, przesyconego mrozem...

Tam dalej, za oknem, miasto spowite w sen i mgły.

W szronowych oparach barwami tęcz płoną szeregi latarni.

Wozy się nie toczą, ludzie śpią, wszystko spoczywa.

W tę noc, w tę biel szronową bije teraz płacz dziecka żałosną skargą. Wtórzy mu wycie psów, przesiąkłe przeczuciem czegoś strasznego — przecięte chwilami wrzaskiem kotów, niby hyen czających się przed wrotami cmentarza.

Wrzaski te od czasu do czasu rosną, wzbierają, wybuchają gniewnem parskaniem lub przeraźliwym, rozpacznym krzykiem, jakby mordowanych dzieci.

I cisza:

Tylko księżyc płynie nad dachy, tylko w szronowych oparach barwami tęcz płoną szeregi latarni.

Mróz zwolniał nad ranem; wiosenny już, łagodny zapach przesycał mgły...

. . . .

Dziecko płacze i płacze.

Czemu? Tłucze się po mózgu chorego lekarza.

Czyżby naprawdę które z tych widm?

Nie! — mówi rozsądek.

Halucynacye wzrokowe...

Wytwór podnieconych nerwów...

Fantazya chorobliwa...

— Pewnie mam trochę gorączki... Trzeba sobie zmierzyć temperaturę.

Wyciąga rękę w stronę komody, gdzie obok maszynki spirytusowej, na której grzeje się mleko, pomiędzy flaszeczką dziecka i szpilkami do włosów błyszczy stalowa pochewka termometru.

Wyciągnął rękę i nagle doznał jakby pchnięcia rozpalonem żelazem w serce. Może... Może to on przywlókł do domu którąś z tych mar?

One takie przyczepne, wcisną się wszędzie — w ubranie, we włosy, w futro...

Przychodzi mu na myśl, że był przed paru dniami na oddziale chorob zakaźnych.

Ospa, tyfus, szkarlatyna — wszystko tam jest.

Nie bawił tam długo, przeszedł tylko z kolegą po salach, ale to wystarczy.

Nie trzeba czasem więcej...

Inna jeszcze zmora przewija mu się przez mózg.

Przypomina sobie, że przed kilku dniami wrócił do domu, smutniejszy jakoś, niż zwykle, przybity zgnębiony.

»Tato« — uśmiecha się dziecko, wyciąga rączki...

Wówczas to porwał je, cisnął do piersi, całował po rączkach, po twarzy, w usteczka, długo, długo całował...

A może on, suchotnik, zaraził je wtenczas gruźlicą — lodem ścięła mu się myśl...

Leży na poduszkach blady, jak świt zimowy nad mgłami miasta.

Wzrok jego zmęczony patrzy z trwogą na te dwie istoty, w które się wcielił cały jego świat wewnętrzny, całe morze jego uczuć.

Patrzy na złote włosy kobiety, rozsypane płaszczem po szarej chustce, na wyciągnięte z pod niej śnieżne ramiona.

Teraz ramiona te zamykają okno, zasłaniają je firanką, rozpięte na tle świtu w drogowskazy jego jasnych dróg, jakby się wyciągały do światła o pomoc.

Lecz wnet opadły, jak przebłysk skrzydeł anielskich, skąd płacz dziecka idzie skargą nieutuloną.

Cała wielka, potężna Miłość słońc, światów, przestrzeni, ziemi zdaje się spływać w te białe, ciepłe ręce — rzeźbi się ich wieńcem splecionym nad rankiem życia wątłej dzieciny.

— Czego ono płacze? — modlą się rozchylone lękiem usta kobiety, pytają zaciśnięte śmiertelnym strachem ramiona.

Chustka z nich opadła, snop jasnych włosów rozsypał się źdźbłami złotych promieni po białem czole, opływał śnięźną szyję.

A przez tych włosów wonną gęstwę, patrzą rozszerzone lękiem źrenice na prężące się w konwulsyach płaczu ciałko dziecięce — na jego siną twarzyczkę...

. . . .

Nagle szarpnął się chory, jakby coś targnęło całą jego istotą, podniósł się w poduszkach.

Oto znowu widzi, jak z kątów pokoju, z odzieży, z surduta, którym go żona przykryła, wychodzą te same mary, jak pełzną, gdzie wianek śnieżnych ramion kobiecych owinął dziecko płaczące.

Widzi, jak zdradnie, cichymi kroki zbliżają się, kędy w świetle czerwonej lampki, przez złote promienie włosów, rysuje się żywy posąg najwyższej jego miłości.

Ostrożnie, na palcach kościanych obchodzą tulącą skarb swój kobietę — wyglądają z za jej pleców, trupiemi głowami zdają się dotykać jej skroni.

Są — są wszystkie, wieje od nich woń karbolu, trzymają się ścisłym łańcuchem, podają sobie ręce.

Wyraźnie je poznaje...

Ta ślizka, zimna, o szczękach dzwoniących dreszczem — zimnica...

A tamta płonąca, z twarzą w centki, jak próchno w nocy cała w ogniu, widmo-żar — to szkarlatyna.

Teraz wywija się ospa, czarna, straszna, w krostach, z dziurami po ciele.

I sina, z oczami wysadzonemi na wierzch, o piersiach wyschłych, bezmlecznych, nienawidząca dzieci, o rękach zakrzywionych, jakby niemi dusić chciała — dyfterya.

I ta z ceglastymi wypiekami, pokryta lepkim

potem, skurczona od kaszlu, słaniająca się, by paść upiorem na nową ofiarę — gruźlica.

Jedna przez drugą, wygłodzone, chciwe żeru śmierci, jak hyeny pchają się do łupu...

Z łkaniem rozsadzającem chorą, wyschłą pierś, odsłoniętą z nocnej koszuli, wyciąga ojciec-mąż ręce tam, gdzie w krwawej smudze lampki, w aureoli jasnych włosów kobiecych tuli się jego świat.

Usiadł na łóżku — patrzy: nie widać nic, tylko trwogą pochylone lica, tylko rozszerzone śmiertelnym niepokojem źrenice, cisnące daremnie w rozpaczy najwyższej miłości rozpłakane ciągle dziecko...

. . . .

Patrzy, na dnie jego duszy bije dzwon, ten, którym witają w cmentarnej bramie płaczące brzozy, żałobne cyprysy, pokornie na grobach pochylone bratki, kołyszącą się po nad tłumem nową trumnę. Białą, srebrem nabijaną...

Taką niewielką o czystym całunku wystającym z pod wieka, jak pościel kolebki świeżo zasłanej...

Trumnę dziecka...

W głębi duszy ojca bije cmentarny dzwon:

— Które to z tych widm?

Które? Które? Które?

Tak bije dzwon.

JASKRA.

I.

— Icek!

— Wues?

— Ja ciebie nie widzę...

— Nu! za co mnie bobe nie widzi? ja jest tu!

— Icek!

— Wues?

— Pokaż ty mi gugiel!

— Nu — hast bobe gugiel!

— Ja tego gugiel nie widzę.

— Za co bobe nima jemu widzieć? Un jest tu, ja jego trzymam w rękach.

— Iceek!

— Nu?

— Stań ty przedemną i machaj z rękami..

— Ja już macham z rękami...

— Icek!

— Wues?

— Czy ty naprawdę machasz z rękami?

— Nu! Jeszcze jak? Aż się pierze rusza na betach.

— Icek!

— Nu?

— Aj waj meiner Seele! Ja twego ręki nie widzę!...

II.

— Przepraszam pana konsiljarz — ja dzisiaj dobrze widzę — ja i pana widzę — i papier i krzesło i tegi lampę co się tam pali na stole — ale ja wczoraj nic nie widziała — nic — nawet mojego wnuka Icka jak un machał z rękami.

— A teraz widzi pani moje palce?

— Czemu nie mam widzieć?

— A ile?

— »Całkom« pięć.

— Dobrze. A teraz?

— Teraz cztery.

— No a teraz?

— Teraz tylko dwa.

— Doskonale. Bolało panią bardzo?

— Rychtyg bolało.

— A takie koła tęczowe — takie duże koła przed oczami — jakby kto na szabas pająk zapalił i ten pająk się ruszał — widziała pani?

— Aj waj! Skąd pan wi? Pan tam nie był!

— Na tom się uczył — uśmiecha się doktor.

— Żeby Pan Bóg panu konsiljarzowi zdrowie dał — aj waj! Jak pan się tegi uczył? Pan się »cymes« uczył — pan takie rzeczy wi, jakby samemu w mojem oku siedział!

— Widzi pani! No niechno pani pozwoli — muszę jeszcze obmacać oczy.

— A nie będzie bolało?

— Nic a nic.

— Czemu niemam pozwolić, niech ich pan zdrów maca!

— Lewe więcej panią bolało? Prawda?

— Jak Boga kocham prawda, pan wszystko wi... aj waj! taki doktor! Taki wielgi doktor! cmoka żydówka.

Przepiszę krople — będzie sobie pani zapuszczała co trzy godziny po kropli do każdego oka — a jakby bolało, to co dwie godziny — rozumie pani?

— Co nie mam rozumieć? Wielgie rzeczy? ja panu konsiljarz już powiem: »Jede drei Stinden a paar kropełes do każde oko, a jakby broń Boże bardzo bolało — to co dwie godziny«.

— Będzie to pani robiła przez tydzień — a potem trzeba znowu do mnie przyjść. Zobaczy się — może się okaże potrzebną operacya...

— Po co takie brzydkie słowo? Pan konsiljarz nie potrzebuje mówić z przeproszeniem to paskudne słowo.

— Życzę pani, żeby się choroba nie powtórzyła więcej — ale jakby... to proszę przyjść koniecznie...

— Co mam robić? Pewnie że przyjdę, niech mnie pan Bóg broni...

— A Dieu.

— Adje — dziękuję panu konsyljarzowi. Niech pan sto lat zdrów żyje. Wychodzi do przedpokoju. Po chwili wraca się z sieni.

— Przepraszam jeszcze — ja pana konsyljarza bardzo przepraszam... ale jabym chciała wiedzieć...

— Co?

— Jak to się nazywa?

— Co?

— Nu — ta choroba...

— Na co pani tego?

— Nu tak... Ja potrzebuję powiedzieć w domu.

— Nazywa się »jaskra!«

— Aha! Jaskra! Jaskra! Dziękuję panu — bardzo dziękuję!...

III.

— Aj waj! Icelek! Aj waj!

— Nu? Co bobe jest?

— Gdzie zejde?

— Zejde poszedł do szkoły.

— A tate?

— Tate także poszedł do szkoły.

— A mame?

— Mame siedzi w sklepie.

— Aj waj! Aj waj!

— Nu? Co bobe jest?

— Icek!

— Nu?

— Ja ciebie znowu nie widzę...

— Aj waj! Aj waj!

— Icek?

— ?

— Jak tate wróci — pójdziesz ze mną do doktora.

— Nu nu!...

IV.

— Ja przyszła po pani — nu — ale ja bardzo chora — niech się pani zmiłuje — ja nic nie widzę — mnie tu wnuk przyprowadził — pani sama widziała — mówi stara Paja do siedzącej obok młodej kobiety. Pan Bóg pani nagrodzi — mnie boli — aj waj, meiner Seele!

— Dobrze, niech pani idzie przedemną. . . .
. . . .

V.

— Trzeba operacyi moja pani — trzeba — tu krople nie pomogą.

— Aj waj! Ja nieszczęśliwa!

— No no! Cóż znowu takiego? Czy to jeden poddał się operacyi, a dziś chodzi zdrów i widzi jak każdy inny.

Aj waj! Weh meiner Seele!

VI.

— Przepraszam panów konsiljarzów — ja panów bardzo przepraszam — ale ja bym chciała wiedzieć jak się moja choroba nazywa?

— Na co? Teraz przed samą operacyą, kiedy się trzeba kłaść na stół?

— Jabym bardzo prosiła...

— Co pani z tego przyjdzie?

— Nu ja bardzo proszę — ja się inaczej nie dam operować...

— To dobrze, nikt pani nie zmusza — może sobie pani iść każdej chwili — odzywa się zniecierpliwiony assystent — młody lekarz, o delikatnej, nerwowej twarzy. Ręce założył w kieszenie płóciennego fartucha — błyszczącemi oczami patrzy gniewnie na żydówkę.

— No! Trzeba jej powiedzieć, kiedy tak bardzo tego chce — śmieje się profesor głaszcząc długą, siwiejącą już brodę — ta choroba nazywa się: »glaucoma«.

— Nu co? Jak? Może ja źle słyszała?

— »Glaucoma!« Śmieje się profesor z pod okularów.

— To nie może być! To nie jest ta choroba! To jest pomyłka! Ja nie chcę operacyi! Co to jest?

— Szare oczki asystenta aż skrzą się z gniewu. Patrzy pytająco na profesora — jakby zdziwiony jego cierpliwością.

Ale profesor się śmieje.

— Może »jaskra«? Krzyczy w ucho żydówce.

— Nu nu — rychtyg — jaskra — jaskra — teraz już dobrze — pan profesor sam wi najlepiej — pan sobie tylko tak żartował z biednej żydówki...

Chór śmiechu wstrząsa salą operacyjną.

Odziani w szare płócienne płaszcze lekarze kliniczni otaczają kołem żydówkę — śmiejąc się coraz głośniej.

— A to mądra!

— Mogłaby wykładać!

— »Patryotka!«

— Nie chce greckiej nazwy!

— Ma racyą — niech będzie po polsku — śmieje się profesor — no panowie — przystępujemy do operacyi — proszę umyć »pole operacyjne«.

— Aj waj!

— Niechże się pani nie boi, to nie boli — ani pani nie poczuje!

Szczypczyki! Proszę mi podać nożyk Graeffego!

— Aj waj! Ja nieszczęśliwa!...

— A a aj! Nie boli? Czego było mówić, że nie boli? A a aj! waj waj!

. . . .

VII.

— Bobe!

— Wues? Czego ty się patrzysz na moje oczy?

— Bobe!

— Nu?

— Co ty masz na oczach?

— Co ja mam na nich mieć? Ja chwała Bogu zdrowa — ja ciebie widzę — cały świat — ja jak na nowo narodzona! Czego ty mi się tak patrzysz na oczy?

— Bobe!

— Nu?

— Ty masz takie małe, czarne gruszki na oczach — ty pierwej tego nie miała — to takie śmieszne — jabym chciał takie gruszki mieć...

— Ty bądź cicho — ty tego nie gadaj w złą godzinę — naco tobie to mieć — dziękuj Bogu, że masz całe oczy!...

— I bobe ma całe — ja chce takie oczy mieć...

— Di smarkacz — di durny — proś ty Boga, żebyś nie wiedział, co to jest choroba — to pieniądze kosztuje — tyle pieniędzy — aj waj! I tak boli, żeby ty wiedział jak to bolało... jakby mi chcieli z mózgiem wyjąć, jakby mnie chcieli zabić!...

Na źrenicach babki, rozszerzonych w górze w kształt gruszki zawisły uparcie czarne oczy Icka. Nie spuszcza ich ani na chwilę.

Za każdym ruchem żydówki ścigają jej źrenice czarne oczy dziecka, lśniące jak dwa ciemne onyxy na jego bladej twarzyczce.

VIII.

— Icek!

— Wues?

— Ty nie pamiętasz jak to się nazywa ta choroba? ja ci to mówiła wtenczas...

— Zaraz bobe — zaraz — ja sobie przypomnę... Ona się nazywa od tego żółty kwiat...

— Od jaki kwiat?

— Od ten co rośnie na łące.

— Co ty mówisz? Na jakiej łące? Gdzie ty go widział? Co ty pleciesz o jakiś kwiat?

— Ja jego widział tam na dole, koło cegielni... Ja już wim bobe!

— Nu? Jak ty wiesz?

— Una się nazywa: »jaskra«.

— Aha rychtyg! Jaskra — jaskra — rychtyg! Ale oni mówili jeszcze jakoś inaczej...

— Inaczej to ja już nie wim bobe...

IX.

— Icek?

— Wues?

— Icek!

— Nu?

— Stań ty przedemną — pomachaj rękami!

— Już macham.

— Icek!

— Wue?

— Ja ciebie znów nie widzę — może ty nie machasz?

— Nu macham. Jeszcze jak! Aż mi cyces podskakuje na kamizelce.

— Icek!

— Nu?

— Aj waj! Ja nieszczęśliwa!

Ja znowu nic nie widzę! . . . .

. . . .

X.

Przepraszam łaski pana profesora — niech się pan nie gniewa — ale ja wiem dobrze — to wszystko nadaremnie... Mnie już przyszło »całkom« oślepnąć — po co mnie się jeszcze męczyć? Co mi z tego?

— No no! Niechże tak pani nie mówi — w takiej chorobie trzeba zwykle i dwa i trzy razy operować, a często za drugim razem wyzdrowieje się. Niech mi pani wierzy — to jedyne, co mogę pani poradzić. Ja przecież chcę tylko jak najlepiej dla chorego.

— Nu — niech będzie i tak, kiedy pan profesor tak każe, ale ja wiem, że to nadaremnie. Widać Pan Bóg tak chciał. Ja już wiem...

— Adje!

— Adieu! Więc jutro?

— Nu jutro — adje!

XI.

— Icek?

— Nu?

— Chodź tu — podaj mi rękę.

— Aj waj bobe!

— Czego ty się drzesz?

— Bobe — ty masz teraz dwie czarne gruszki na każdem oku.

— Icek!

— Nu?

— Ty nie patrz na nich Icek — na co tobie tego?

Ale onyxowe oczy chłopca wlepiają się całą siłą w źrenice babki. Gdzie się tylko ruszy — idą za nią — wpijają się, niby dwie lśniące, skurczone, świeżo z wody wyjęte pijawki w nieruchomo-rozszerzone, czarne jak śmierć źrenice żydówki.

— Bobe! Bobe!

— Nu?

— Bobe ty masz teraz cztery małe gruszki na oba oczy.

— Nie patrz ty na nich Icele, co tobie z tego przyjdzie? Niech ja mam sobie dziesięć gruszki, to ja ciebie i tak nie widzę.

— Bobe!

— I już cię więcej nie zobaczę...

— Aj waj! Bobe!

— Icek!

— Nu?

— Daj ty mi rękę — bo ja już nic nie widzę...

— Aj waj! Bobe! Bobe!

— Aj waj! Icek! Icek!

. . . .

XII.

— Bobe!

— Wues?

— Jak się ten kwiat nazywał?

— Jaki kwiat?

— Nu ten żółty na łące, co jego żona jest twoja choroba.

— Ty młody — ty powinien lepiej pamiętać ode mnie.

— Nu ja sobie zapomniał — jak un się nazywał.

— Icek?

— Bobe!

— Na co tobie tego wiedzieć — mnie już teraz nie potrzeba słyszeć jak un się nazywa — un jest czarny — bardzo czarny — un jest noc — un jest śmierć.

— Bobe!

— Nu?

— To ja już nie będę Ciebie pytał.

— Nie pytaj Icele — nie pytaj.

* * *

POSUCHA.

I.

Noc blednie — rozprasza się — kona.

Wielkie — krwawe — bezpromienne słońce rozżarzoną — purpurową kulą wypływa z nad zbóż. Po złoto-płowych kłosach żyt — po pszenic zielonych łąkach ścielą się smugi czerwieni. Palą się od niej ciemne owsy — ciche łuny idą po mlecznych obrusach hreczek.

Zapachły łany ziemniaków, rozwarły biało-sine morze kwiecia do słońca — do słońca!...

A ono płynie cicho nad pól zagony — nad drzewa lasów — nad skały gór — coraz wyżej — wyżej.

. . . .

I pali coraz goręcej.

II

Pokryte lepkim, słodkim potem liście lip, klonów, wierzb mdleją od skwaru nieruchome, obwisłe. Grube, mięsiste, siwe listki bobu ku ziemi zwisły powiędłe — jakby się schować chciały przed słońcem. Po nad pola — nad łąki — nad dachy chat

drga upał — drobnemi, przejrzystemi falami zalewa świat.

III.

Zachodzi za ugór wielkie, krwawe, bezpromienne słońce — ściele się cicho po łanie koniczu.

Pochyliły się czerwone, rdzawo skwarem znaczone główki — do ziemi się chylą trójlistne powiędłe łodygi, wilgoci pragną, rosy. Ale ziemia wyschła jak bezmleczna pierś kobiety.

IV.

I znów z za pożółkłego przedwcześnie żyta, wschodzi purpurowe, palące, bezchmurne słońce i znów się rozpala w rozetlone do bieli żelazo.

Cisza.

Żaden głos jej nie mąci. Umilkły zmęczone zięby — skonała w żarze pieśń skowronka, jaskółki przypadły w chłodnych trzcinach nad wodami.

Cisza.

Najlżejszy powiew nie wstrząsa powietrzem.

Po białem niebie płynie białe słońce i coraz więcej pali — coraz goręcej. Sok z ziół zdaje się ssać i wilgoć z traw i drzew, a krew i pot ze zwierząt i ludzi.

Zczerniałe krzaki ziemniaków obwisły spalonym liściem, poskręcanym w trąbki.

Stuliły się sino białe ich kwiaty, spadają, sypią się martwe na gorący popiół piasku.

Sterczą po nich suche łodygi.

Przedwcześnie dojrzałe korale jarzębin, czerwienią się pomarańczowo — pomarszczone — wyschłe jak wargi chorych dzieci.

V.

Przez drzwi otwarte kościołów — przez czarne kraty ich wąskich okien gotyckich, płynie na pola modlitwa-lament, prośba-skarga:

Boże Ojcze Abrahama,
W Tobie moc i dobroć sama,
Spojrzyj na to ludzkie plemię
I użycz deszczu na ziemię.

Płynie — bije błaganiem o mury cmentarza, przewija się między krzyżami, nad role leci spragnione, nad łąki, nad lasy.

VI.

Coraz bielsze słońce — coraz jaśniejsze.

Roztopionym na siwo ołowiem leje się — przesyca — przytłacza, gniecie ku ziemi ciężkie jak ołów powietrze — wtłacza je w oddech w piersi wszystkiego, co żyje, ciśnie je — dławi.

Suche piaski zdaje się topić i rozpylone w miał siwy, mięszać z swym żarem i palić nim i dusić życie na ziemi.

VII.

Leniwie — ciężko pełznie od zachodu ciemny wał chmur. Coraz bliżej podpływa — coraz bliżej...

Nagle rozchwiały się konary sosen — sypkim szelestem syknęły — zagwizdały szpilki gałęzi. Zawył wicher — podniósł tuman spopielonych piasków — kłębi je — przesłania nimi słońce, świat.

. . . .

I wyje, jęczy — gwiżdże, zawodzi w sosnach i rozwiewa po czarnem tle chmur pogięte konary.

. . . .

VIII.

I znowu cisza.

Rozprószyły się po niebie obłoki — ścigają się, gonią, uciekają jedne przed drugimi, jakby wichrem płoszone.

. . . .

I znów pali słońce — coraz bielsze, coraz to gorętsze — i znów zaszło za ugór krwawe, wielkie, bezpromienne.

I znów — i znów...

IX.

Z ciemni boru wykwitł biały słup dymu, buchnął w niebo, iskrami rozsypał się po drzewach...

Długi, wąski, ruchliwy język płomienny...

Za nim drugi, trzeci, dziesiąty.

Po miedziano-rudych pniach sosnowych widnych w pożodze, skaczą krwawymi wężami, liżą popękane płaty kory, opadają z nich na ziemię,

wyścieloną żywicznem igliwiem — pełzną po niej — całują wyschłą jej pierś.

To znowu niby stadem czerwonych wiewiórek, pną się — skaczą po drzewach — coraz dalej — coraz dalej...

Trzeszczą chrusty, pękają z hukiem smolne sęki.

Po złoto-rudej korze sosnowych pni leje się płonąca żywica.

Sino-bure dymy i noc tulą świat.

A z ich chmur, z mętów ich ciemnej otchłani, strzelają raz po raz w niebo ogniste słupy — pełzną po sosnach krwawe węże, skaczą, gonią się stada rozszalałych czerwonych wiewiórek.

X.

Jeczą dzwony.

Przez wąskie okna dzwonnicy ciśnie się ich lament — płynie rozpacz — leci na wieś, nad suche strzechy słomiane, nad spopielałe łąki, nad trzask palących się lasów:

»Gore! Gore!« — jęczą dzwony.

XI.

Blednie noc — rozprasza się — kona.

Przez żółto-bure, ołowiano-ciężkie zwoje dymu, po przez słupy ognia strzelające w niebo — rozżarzoną purpurową kulą, przedziera się wielkie, krwawe, bezpromienne słońce.

I płynie cichą łuną nad opadłe z kwiatu nago

sterczące łodygi ziemniaków — nad poczerniałe, spalone skwarem łany hreczek, u których zwiędłego, ciemnemi gronami zwisającego kwiecia błąkają się bezradne pszczoły.

Płynie na buraczane liście suche, spieczone, pozwijane w trąbki, w kształt zeschłych liści aronu.

XII.

Coraz wyżej wschodzi słońce — coraz wyżej — i pali coraz goręcej.

Purpurowa jego kula przetapia się w topaz, lśni złotem, żarzy się jasnem lśnieniem rozpalonego do bieli żelaza.

A w tej bieli rozżarzonej ścielą się żółto-bure dymy dogasającego lasu.

Z ponurych, ciężkich ich zwojów wywijają się, rozrastają, rozłażą nad wsie, ścielą się nad chaty, zaglądają w niskie okienka, białe ciche widma o piersiach zapadłych, o gasnących, bielmem zaszłych oczach:

Widma głodu.

Za niemi wstają inne, czarne, straszne, okopcone sadzą, o kudłach przetykanych iskrami, z pożarem w oczach, z gorączką na spiekłych ustach:

Widma tyfusu.

XIII.

Przez drzwi otwarte kościoła, przez czarne kraty wąskich okien gotyckich, idzie modlitwa...

skarga... lament... płacz... błaganie... obija się o mury cmentarne, o krzyże na grobach — nad pola płynie spalone posuchą — nad spieczone łąki, nad trupio-czarne dymiące sino-burym oparem zgliszcza lasowe:

»Od powietrza, głodu, ognia, wybaw nas Panie!«

POSUCHA. (II).

I.

I znowu wschodzi.

Ponad nagie, szare, bezrośne ścierniska — wschodzi wielkie, krwawe, bezpromienne słońce.

Coraz wyżej idzie i pali coraz goręcej.

Z rubinu przetapia się w rozpalony żarem cynk — w roztlone do bieli żelazo.

A pod niem na kamień wyschłe, w szczeliny popękane pola i spopielały zewłok martwych traw po łąkach — i szeleszczące śmiercią szkielety poschłych trzcin, gdzie dawniej siniały wodami jeziora i stawy.

II.

Po zwiędłych, zżółkłych kopułach lip — po spalonem na popiół listowiu grabiny — po rozchwianych cytrynowych wiechach brzóz — skwarnem tchnieniem dysze wiatr — na beztrawne pastwiska rozwiewa suche, poskręcane listki — kręci nimi — goni — pędzi je po piaskach wydm, ugorów, niby małe łódki po morzach żwirowych...

Z przypadłej do ziemi, zczerniałej naciny ziemniaków — unosi się śmiertelna woń rozkładu — zapach przedwczesnej zgnilizny.

Osiwiałe ze skwaru, jak włosy starców — liście kukurudzy i końskiego zębu — wąskie — poskręcane — chorobliwie zaostrzone jak rysy konających — coraz niżej — niżej opadają ku ziemi.

III.

W chmury kurzu krwią zachodzi słońce.

Po przez płomienny tuman kurzawy idzie z jej wnętrza ryk głodnego, spragnionego bydła, wracającego drogą od wyschłej rzeczki.

Za wodą ryczy — w gęstych, siwych obłokach piaskowego miału, pędzi do podwórz — do żłobów przy studniach.

Z wielkich, jakby przelękłych oczu krów leją się łzy, wyciśnięte kurzem — a może i strachem... Bo studnie wszystkie wyschły jak jałowe piersi bezdzietnych kobiet...

IV.

Noc. Cisza...

Umilkł wiatr — ani listkiem suchym nie trąca.

Przesiąkłe zapachem kurzu i rozpylonej ziemi powietrze — obwisły ciężkie, duszne zmory dymów z płonących naokół torfowisk.

Zwolna płyną — leniwie pełzną — ostrą, gry-

zącą wonią zgorzelizny mieszają się z pyłem ziemi, rozwianym w powietrzu.

Ani kropli rosy na zeschłych źdźbłach traw — ani chmurki mgły w przestworzu.

Cisza...

Tylko od czasu do czasu błyśnie gdzieś z za boru język ogniowy i krwawą pochodnią obleje sino bure dymy płonących torfowisk.

Czasami widać po przez ich rudą, tłumiącą oddech gęstwę, jak łuna ognia rozleje się szerzej, jak bieży gdzieś po lasach — aż nową falą buchnie z ich piersi ciemnych — i w okół się szerzy morzem płomiennem.

Coraz duszniej się robi — goręcej — i coraz widniej — straszniej...

I tak co noc palą się gdzieś lasy — goreją po wsiach chałupy.

V.

Po nad borów spopielałe cmentarze — nad sterczące — czarno osmolone kominy zgorzałych chat — wschodzi znowu wielkie — krwawe — bezpromienne słońce.

. . . .

Coraz wyżej idzie — i pali coraz goręcej.

Sok z ziół zdaje się pić, a i pot i krew ze zwierząt i z ludzi.

Po skrajach dróg — gościńców — konają

w upale zagony nędznej kapusty — niedopalonych jeszcze burakow.

Zwiędłe ich liście opadły na piaski — leżą cicho pod siwym całunem dławiących je kurzów...

. . . .

Na spieczonym, gliniastym pagórku trzymają sochę grube — czarne — spalone skwarem chłopskie ręce.

Chude — nędzne konięta zaparły się w pługu z całych sił, aż im się wżarły konopne postronki w zapadłe, otarte z sierści boki.

Pogania je młody chłopak w zgrzebnej koszuli przepasanej rzemykiem — w ciężkim, słomianym — za dużym kapeluszu na głowie.

W zapiekłą na skałę ziemię dzwoni lemiesz — skrzypi w niej, jęczy, aż dreszcz przechodzi po ludziach, po siekanych biczem końskich krzyżach.

Z obłoków kurzu słychać tylko świst razów, miarowe sapanie dychawicznych koni, ostry skrzyp żelaza po stężałej w skałę glinie...

. . . .

Jak okiem sięgnąć po nad szaro-popielate zgorzelisko pól drga skwar — drobne jego przejrzyste fale zlewają się z siwem od pyłu powietrzem i z rozpalonem na siwo niebem — w ogromny jakiś, nieskończony odmęt roztopionego do białości metalu.

VI.

Niedziela.

Tłum ludzi w parafialnym kościele.

Patrzą w białą komżę księdza — w jego ręce wzniesione z jej fałdów — w twarz zaczerwienioną zmęczeniem i upałem — ociekającą potem — w promieniejące jasnością oczy — w usta, z których płyną słowa kazania.

Patrzą ludzie — słuchają:

— Żeście odstąpili ścieżek Pańskich — mówi ksiądz — żeście zeszli z dróg Jego przykazań.

— I nie miłujecie się, jak On wam to rozkazał — On, który umarł z miłości dla ludzi. On, Miłość sama!

— Że nie kochacie Jego, nie kochając Go jedni w drugich...

— A który z was wiele ma, jeszcze chce mieć więcej, i nie wspomoże bliźniego swego, choćby ginął przed nim z głodu.

— I że człowiek człowiekowi u was bratem nie jest, i osłodą i radą, a pomocą...

— Ale wrogiem mu bywa, a z łez bliźnich tryszcze mu źródło radości.

— I modlić umie się tylko: »Dzięki Ci Panie, iże mi nie jest, jako onemu«.

— A przeto odwrócił się od was Pan, On, źródło dobroci, bo wy odwróciliście się od niej.

— I ku pokucie nawrócenia waszego karać was będzie i głodzić i morzyć i palić, jako i wy

w sercach waszych głodzicie braci, jako i wy ich palicie w duszach waszych.

— Módlcie się, niech Bóg wam przebaczy w Miłosierdziu swojem, niech zmiłuje się nad wami...

. . . .

W zalew słoneczny, cisnący się przez smukłe okna kościoła — w smugi pyłu zmieszane z dymem kadzideł — chyli się barwny łan głów kobiecych w czerwonych i żółtych chustach, chylą się stare i młode głowy mężczyzn, łyse, woskowo połyskujące i siwe — i czarne jak mech leśny — i jasne jak lniane przędziwo.

Chylą się — kajają...

. . . .

Ksiądz otarł chustką spocone czoło, wraca do ołtarza.

— »Dominus vobiscum!«

— »Et cum spiritu tuo« — odpowiada chłopak ubrany w białą komeżkę.

Z chóru płynie stłumiony głos organów — falą grozy uderza o szare ściany kościelnej nawy — wstrząsa kolorowemi szybami gotyckich okien.

I płynie... Po strugach słońca, po drżącym blasku woskowych świec, po sinych obłokach kadzideł, nad głowy tłumu wionie, do serc wnika rozwartych przed Bogiem — w rozpękłe spiże ludzkich dusz...

. . . .

— »Domine, non sum dignus...«

. . . .

— »Domine! non sum dignus...

Cisza — tylko głuchy głos organu drży na kwiatach ołtarza — chwieje czerwonawym płomieniem świec.

Dzwonek — i jeszcze niżej chyli się tłum, jeszcze szczelniej przywiera do kamiennych płyt podłogi...

— »Pax Domini sit semper vobiscum« — łagodnem przebaczeniem idzie od ołtarza.

— »Et cum spiritu tuo«: — dzwoni cienkim głosem chłopak w komeżce...

. . . .

Na rozścielonych pokotem plecach ciżby ludzkiej drga słońce kolorowemi plamami szyb...

. . . .

Wtem szmer powiał od kruchty — i dziwnym dreszczem rozchodzi się po pochylonem mrowiu ludzkiem. Nagle, jakby na jakieś straszne hasło — zakołysało się, zagotowało morze tłumu i z krzykiem się zrywa z podłogi kościelnej.

— Gore! gore! — idzie trwogą od kruchty.

Umilkły organy — głos ich kona urwany w dzikim strachu ludzkiej fali.

— Gore! Gore! — Jęczy, płacze, szaleje rozpaczą po kościele.

. . . .

Z nad gzemsu okna przy chórze wywinął się wąski — długi — czerwony język płomienny —

liznął drewnianą ramę okna i jakby przerażony, schował się pod okap dachu. Ale za chwilę wydostał się drugi — trzeci — dziesiąty...

Z trzaskiem pękają barwione szyby, dźwięcząc sypią się na kamienną posadzkę — na głowy ludzkie.

Swąd spalenizny tłoczy się w mury kościoła — siwo-rude kłęby dymu, przetykane złowrogiemi światełkami iskier — buchają z nad chóru...

. . . .

A od ołtarza płynie spokojem głos księdza: »Ite missa est«... I błogosławieństwo żegna oszalały lękiem tłum:

— »Benedicat vos Deus Omnipotens... Pater et Filius et Spiritus Sanctus...«

. . . .

Nie odpowiedział już »amen« cienki głos chłopaka. Porwał go skłębiony tłum. A tłum ten do drzwi kruchty się ciśnie — wyrywa się przez zakrystyę — rozpycha — przewraca — tratuje wszystko przed sobą — oszalały — bezprzytomny z trwogi.

. . . .

Coraz duszniej w kościele, coraz — ciemniej od dymu — coraz goręcej.

Krwawe języki buchają już z chóru na kościół — po ławkach pełzną — żywymi, syczącymi wężami skaczą po chorągwiach — liżą — obejmują — skręcają w popiół sztuczne kwiaty u bocznych ołtarzy...

. . . .

Z rudych chmur dymnych grzmi głuchy huk, jakby stłumiony głos organów — jakby dudnienie podziemnego grzmotu...

Coraz duszniej — coraz ciemniej od burych, dławiących oddech zwojów dymów — coraz jaśniej od żagwi płomiennych.

. . . .

Na wieży kościelnej bije zegar południe. Ale w trzasku walącego się na niej dachu — kona niedodzwoniony brzęk czasu — mosiężne wskazówki zegaru opadły w płomienie.

. . . .

Z odmętów dymu — przez rózgi ognia — wynosi ksiądz Przenajświętszy Sakrament.

. . . .

I znów przeciągły — straszny trzask — łomot wstrząsa powietrzem — i chmury iskier buchają pod niebo.

Runął przepalony strop świątyni.

. . . .

Na szarej — zeschłej trawie cmentarnej stoi ksiądz z Przenajświętszym Sakramentem i drżącą ręką żegna Nim stos płomienny.

Zbielałe bólem jego usta mówią modlitwę Pokory:

— Nie ludzka, ale Twoja Wola, niech się święci Panie!

. . . .

SZCZĘŚCIE.

Jest, jest w wszechświecie, na ziemi jest.

W piersiach dziewic śpi cicho, niby białe kwiaty pod śniegiem.

Po burzy letniej pachnie niem świat.

Wiatr je niesie z wonią ziół górskich, z oddechem łąk i kochanków, z zapachem siana; wiatr je sieje po ziemi od hal do stepów, od stepów do mórz.

Gdy dusza, jak palma pustynna, schnie po niem z tęsknoty — i szuka go wokół, a znaleźć nie może.

Kiedy pierś smutna, jak morze w dzień chmurny, czeka na jego przyjście niby arfa Eola na pocałunki wiatru; gdy szuka go w sobie, a znaleźć nie może, i szuka go w innych, a znaleźć nie może, i szuka go wszędzie, a znaleźć nie może:

Przychodzi do mnie jak anioł biały i mówi:

— Patrz, oto tam ból, kochaj go, bom jest w twej piersi.

Przychodzi do mnie, jak świt na mokre, zziębłe kwiaty, i pieszcząc mnie, jak słońce pieści róż aksamit, mówi:

— Patrz, oto tu w wieńcu z cierni kwitnie cicho Cierpienie. Aż ku trawie, aż ku ziemi chyli skroń męczeńską i może nigdy, nigdy mnie nie pozna, bo zwątpiło we mnie od dziecka, ale ty je kochaj za to, jak ja kocham Ciebie.

Przychodzi do mnie, niby chłód od gór w spiekoty letnie, i głaszcze, jak oddech górski muska puch na twarzach kobiet, i mówi:

— Widzisz tę rozpacz tak ciemną, jak chmura, z której piorun wystrzeli? Kochaj ją, bo ja duszę twą kocham, jak tęcza kocha obłok, który ją całuje.

* * *

Duszy ludzkiej bywa często jak świerkom, gdy je śniegi przypadną. Jaśnieje nimi świat, tysiące iskier słońce w nich zapala, i stoją — cudne posągi białego piękna w dyamentowych blaskach, i stoją ciche, nieme, przeziębłe...

I bywa duszy, niby smutnej skale nad czarnemi wody, w których widzi tylko siebie i smutek swój samotny, ale nigdy nie ujrzy w nich nieba, bo słońce nigdy nie świeci tym wodom...

. . . .

I bywa duszy jak trawom, gdy je słota gnie do ziemi i w piasek wbija; i bywa duszy jak ziołom, gdy je kosa ścina w czerwony poranek...

* * *

Tęsknoto Ty moja!... Oto klękam przed Tobą,

jak wiejska dziewczyna przed leśną krynicą, by przejrzeć się w Twej duszy źródłach, a gdy ujrzę w ich bezdni cały mój smutek bezdenny, a gdy ujrzę w ich prawdzie całą mą prawdę przesmutną, a gdy ujrzę w ich morzu całe morze mych natchnień, to jakbym wchodził przez tonie Twych źrenic w jakieś przeczute w dzieciństwie rozkoszne ogrody, to jakby mnie matka do siebie tuliła coraz silniej, to jakbym Ci tylko oddawał tę miłość ogromną, nieziemską, którą wziąłem od niej, to jakby duch jej przechodził w Ciebie przeze mnie, to jakbym umierał i odradzał się w Tobie.

Patrz: oto mój duch tak oplótł Cię jasną smugą świętych swych tęsknot, jak błyskawica oplata pachnące burzą powietrze — oto sączy się w Ciebie, jak rosa sączy się w kwiaty, oto zaślubia się z Tobą, jak noc poślubia ciszę i gwiazdy, jak mgła poślubia nadłączne olszyny, jak słońce zaślubia ogrody w pogodny poranek.

* * *

Cisza wieczorna.

Góry pachną od ziół — wielkie kadzielnice ziemskiego kościoła; wiatr przypadł do stóp smrekowych i usnął gdzieś w paprociach; ćmy piją rosy z sennych kwiatów; kielichy lilii i złotogłowiu dzwonią na ciche, ciepłe, wonne święto nocy...

. . . .

Dusza moja bez Ciebie — czarny staw w śmiertelnie pustej kotlinie.

Tęsknota do Ciebie — srebrny strumień, który z niej wytryska.

Wszystko rwie, druzgocze wszystko, obala drzewa, toczy głazy a pędzi...

. . . .

Do łąk, do pól, do światła, — do słońca — do Ciebie...

Gdzieś pomiędzy łąki płynę, a słońce i przestrzeń, przejrzysta, sinawo-złota przestrzeń — to Ty.

Wiem, płynąłem już tam niegdyś w jasnowidzeniach dziecinnych przeczuć, gdy w wątłej piersi chłopięcej wstawało coś jak narodziny szczęścia, jakby jakaś potężna, odległa jego łuna i świtanie, kiedy wzbierało we mnie takie bezmierne jego pragnienie, taka święta jego pewność, jakbym Cię widział już wówczas...

I widzę Cię, i czuję Cię...

Twoje włosy pachną jak kwiaty łąkowe — falują niby zboża na polach. Bieleje z nich twe czoło jak kościół, w którym myśl się modli, jak kościół wiejski z sadów...

Śnieżną stułą oplotły mnie Twe ręce, niby wieniec wodnych lilii oplata piersi stawu.

* * *

Pola, łąki, ogrody świetlane, lasy rozpachłe od słońca!

Całe wasze ciepło serdeczne, całą waszą miłość zbóż, ziół, traw, drzew, wszystkiego, co kwitnie, co żyje, co czuje, cały cichy wonny czar, z jakim kwiat rozchyla ku słońcu nieskalane grzechem łono, całe słoneczne, świąteczne odczucie tego, co jasne, co białe, co złote, całą świadomość rozkoszy życia i rozkosz odrodzeń, całą świadomość smutku ze śmierci i smutek odrodzeń, całe *palladium* waszych uczuć i rojeń i przeczuć tak cichych, jak noce miesięczne na halach i szmaragdowo-przezroczych, jak rano lipcowe na łąkach: to, co w was najlepsze, najświętsze, całe wielkie serce waszego istnienia, zaklęłyście w jej pierś dziewiczą w godzinie światła i woni, w jasnej, letniej godzinie porannej, kiedy modlitwa wiatru w zielono-srebrno fale łamie morza zbóż i, chyląc kwiaty ku sobie, uczy je pocałunków, gdy góry sinieją w błękitnej ambrze mgieł, co wzięły w siebie wszystką woń storczyków i koniczyn, wszystek błękit gencyan i niezabudek, co jakby całe łąki dzwonków rozlały się w powietrzu...

. . . .

Kogo choć raz, choć raz jeden w życiu taka pierś objęła miłością, jak róża, gdy łonem obejmie kroplę rosy, jak matka, gdy własne życie chce wcałować w śmiertelnie chore dziecko: komu choć przez chwilę jej serce tuliło się do piersi, jak zmęczona lotem jaskółka tuli się do trzcin jeziora; komu choć przez jeden krótki błysk rozwarła się dusza tak jasna, jak te widoki z najwyższych szczytów,

gdy się mgły rozstąpią; jak te złote plamy słoneczne, gdy nagle światłem zaleją mroki dolin — ten na Synaju narodzenia Ducha święcił zielone święto zstąpienia jego na ziemię — ten pił z żywego źródła swojego początku, źródła, co z łąk wytryska tak zielonych, jak rozkwit życia młodego, gdy jeszcze tętni nadzieją szczęścia, gdy jeszcze żyje jego przeczuciem...

. . . .

* * *

Dymami mgieł, powodzią kwiecia, cichem światłem jasnych polan, modlą się góry, toną w przeczystej gazie złoto-niebieskich przezroczy, niby smukłe gotyki szczęsnej życiem, wesołej słońcem, a zadumanej i smutnej myśli świata, co ginie w górach, cicha, omszona, jak stare dachy wiejskich chat, co ginie w chmurach pełnych łez, niby jakieś urny olbrzymie wszystkich bólów świata.

. . . .

Tam nad wodospady pną się kwiaty i patrzą w różowo-srebrną nieskończoność wód, w zielonomodrą ich przejrzystość, w ich wieczny ruch, w ich wir i pęd.

Patrzą, jak tęczowymi snopy tryska fala po fali, niby w czarowny złoty płaszcz rozwiane włosy kobiece, niby z śnieżnego tchnienia gór coraz to świeżo rodzące się życie, wiecznie młode, wiecznie piękne...

Patrzą, jak jego wartkie, barwne, dziewiczo-świeże strugi łączą, zlewają się z sobą i giną w pianach, rozbite o głazy.

Tak dusza moja patrzy w Ciebie.

* * *

W szczelinach gór jest świetlna polana, pieszczona słońcem, niebieska od skabioz, od storczyków sina.

Fijoletowe naokół kamienie i błękit wody i błękit nieba i kryształowo-modra tkanka powietrza

Jej lekka, zwiewna, jak sny o szczęściu, niebieska zasłona senną zadumą, wonną tęsknotą, srebrnym spokojem pada na świat.

Jeżeli szczęścia niema na ziemi, to ten lazur je zrodzi. Jeżeli niema go nigdzie, to jest w tym *błękitnym* spokoju.

Złotym kwiatem tryśnie z łona tej *zabłękitnionej* ziemi, złotym błyskiem roześlni muślin tej *przebłękitnionej* ciszy.

. . . .

Błękitne szczęście...

Z duszy matki Cię piłem, jak kłącz irysu pije z piersi jeziora.

Błękitne szczęście...

Ciche, *złote*, święte...

W letnie poranki spływasz z nieba na wody jezior, a one liliom Cię dają i rzekom.

Kiedy po deszczu rozpachnie się ziemia, kiedy

wilgotne w słońcu rozwonią się kwiaty, a z ich mgieł kadzielnych wstaje czar tajemny;

Gdy słońce wyiskrzy łabędzie pola śniegów, a w czystem ich tchnieniu czuć zapach dziewiczy budzącej się wiosny;

Kiedy przez ciche, białe jaśnie lutowych odwilży płynie z południa, miękka, wonna, ciepła na zziębłe pierze rozkrzyczanych rojów wróbli, które tłumem obsiadły wierzchołki topól, aby się wypławić w jej złocie;

Kiedy w słoneczne święto róż i lip zmęczona skwarem myśl słania się pod chłodne cerkwie rozkwitłych alei;

Kiedy jesień pierwszym smutkiem pożółci brzeziny, a cały jego bezmiar rozlewa po wrzosach, ugorach, pustkowiach;

Kiedy u stóp ostatniego jaskru padła ćma zwarzona zimnem, i nikt go już pieścić nie będzie wieczorem prócz wichru;

Kiedy chmiel zrudziałem złotem szyszek i liści żółknącą zielenią po raz ostatni przed śmiercią z mrozu całuje krasne lice kaliny:

Wówczas z bezbrzeżnych stepów Światła i Żalu wstaje Moc przetęskna, moc poczęta niegdyś w jasnej chwili tworzenia, w chwili świętej narodzin Życia.

Wstaje, i jak Chrystus idzie od smutku do smutku, i jak wiosna idzie od trawy do trawy, cicha, świetlana, miłości pełna a nieśmiertelna.

W piersiach kochanków wstaje,
I w woni pól, łaknących deszczu,
I w sercach smutnych,
I z niebieskiej ciszy skał,
I w burzanowem morzu stepów,
I w każdej trawie,
I w każdem życiu,
I w królestwie Ducha całem,
I z każdej śmierci.

Wstaje jak słońce przejasne nad fale mórz, jak świt promienny z za mgieł i nocy...

* * *

O Mocy przetęskna! święta Mocy tworzenia! miłości morze nieogarnięte...

Bez dna i brzegów jest tęsknota Twoja.

Powodzią kształtów rozlana w bezkresie, powodzią światów jaśniejesz na niebie, powodzią kwiecia rozkwitasz na ziemi.

I szukasz szczęścia, boś smutku pełna, za pełnaś smutku i uciec musisz od niego, bo umarłabyś na smutek swój, jak kwiat umiera od słoty.

Więc wcielasz się w kształty coraz to piękniejsze, więc wcielasz się w barwy coraz to jaśniejsze, więc w myśl się wcielasz coraz więcej niebieską, całą duszą, całem światłem Twego bytu, całą Twą jaśnią nadziemską.

. . . .

* * *

O Mocy przetęskna! Miłości morze nieogarnięte...
Tyś magów mądrością,
I wieszczów proroctwem,
I kwiatem tajemnym świętojańskiej nocy, złotym kwiatem paproci, śnionym przez ludów odwieczną tęsknicę, która z mgłą z nad pastwisk płynie w piersi ludzkie i tuli je, tuli tęskne, spragnione, nieutulone nigdy.

. . . .

Tyś jest tem, co na dzieci niektóre od dni ich zarania kładzie święty stygmat smutku, i jakimś żalem jesiennym podkrąża im oczy, żalem, co tu uciekł bezdomny z ugorów do dusz swych krewnych, takich białych, jakby oprzędły je wszystkie mgły, dymiące po łąkach, jakby oprzędło je całe morze rozsnutych po ścierniach pajęczyn...

. . . .

Ty łaski jesteś królewską tkaniną, na którąby się rozprząść chciało duszę, na którąby się przetkać chciało serce, by w nią owinąć ból, by nią osuszyć łzy, jak ową chustą biblijną, którą twarz Chrystusa skrwawioną otarły święte niewiasty...

Ty jesteś tem, coby się rozdać chciało z siebie, żeby chorym było lepiej, żeby smutnym było jaśniej...

Tyś tem, czego się pragnie, do czego się tęskni, czego się życie całe szuka, na co się życie całe czeka, co jego celem najskrytszym, jedynym...

. . . .

Tyś tem, co w jasnej chwili konania po smu-

dze światła w jakieś rozkwitłe ogrody wiedzie duszę zmęczoną — i każe jej życie żegnać bez żalu...

. . . .

Ty jesteś tem, co sprawia, że gdy blask słoneczny zamrze w gałęziach drzew, i wieczór żałobą powlecze ziemię, a świat wygląda jak wielka trumna nadziei, ciemny sklep nieba niby jej wieko gwoździami gwiazd nad wszechbyt przybite, — wówczas porywa mnie taka żałość przesmutna, w piersi mi wstaje taki jęk przetęskny, taki bezbrzeżny ból Nicości i Nocy, że wyczerpany u nóg Twych padam, drogie widmo kobiece, i błagam: »Ratuj!... podnieś!«

Powiedz, że nie ginie Duch, niech wyczytam z Twoich oczu, niech wysłucham z Twego serca, niech wymodlę z Twojej duszy, że weźmiesz go w siebie, jak druh bierze na polu bitwy ostatnie zlecenia rannego, jak śnieżne równie biorą w siebie pyły kwiatowe; powiedz, że on się odrodzi, rozkwitnie, obudzi w Tobie, jak wiosną budzi się narcyz, aby w zmartwychwstania słoneczne święto podważyć liśćmi grudę zimowego grobu...

. . . .

Powiedz, że jak tęcza rodzi się z deszczu i słońca, jak skalna róża rozkwita ze śniegów, tak z mgieł ludzkiego bólu wykwitnąć musi jakieś przeczyste białe kwiecie, co w kielich śnieżny, pachnący ogarnie, otuli, osłoni wszystko, co rozróżowi, zabieli świat jedną myślą, jednem słowem: »Szczęście«.

Powiedz, że pójdziemy go szukać przez takie puszcze uczuć dziewicze, na takie wyże zawrotne ducha, w takie mgławice nieścigłych przeczuć, przez takie niebo najśmielszych pragnień, aż olśnieni, upojeni, wniebowzięci, padniemy u stóp tego kwiatu, na białe łoże jego listków, jak gołąb przelotny pada na wyspę zakwitłą liliami, jak uśmiech słońca pada na morze, jak śnieg sadów rozkwitłych prószy na sen Twój — na sen Twój dziewiczy o szczęściu.

PO DRODZE ŻYCIA.

Przyjdź, gdy będziesz bardzo smutna, i gdy Ci zimno będzie, jak astrom powarzonym mrozem...

Przyjdź wtenczas i odkryj mi smutek Twój i grzechy, i spocznij po drodze życia.

Zwalane kurzem, podarte cierniem, zziębłe stopy Twoje obmyję łzami — ogrzeję u mej piersi.

W ogrodzie mej duszy jest kaplica z białych lilii, a na jej ołtarzu płonie Ból, który wiele wie a przebaczył wszystkiemu.

Jego światło Cię ozłoci, jak zachód złoci zapłakane deszczem kwiecie.

I będziesz tak jasna, że lilie pochylą się przed Tobą, bo będziesz bielsza od nich.

I staniesz się cicha i dobra jak Cierpienie — Siostro moja — biała kochanko mego bolu.

. . . .

. . . .